Wigilijna

POSTOPOWIEŚĆ

Uniwersytet Śląski
w Katowicach

Spis treści

Bez A. Aleksandra Krysińska 1
Opera o samotności. Alicja Malczyk 3
Cud Jaśminowej Dziewczyny. Anna Nocoń 10
Pierwsza gwiazdka. Karolina Roszak 16
Wigilijnie. Katarzyna Mazur 17
Śnieżna nić. Klaudia Wolska 19
Opowiastka post-wigilijna. Magdalena Gołąbek 22
O tym, jak polubiłam święta. Magdalena Jaraczewska 24
Pierwsza Wigilija. Maria Podstawska 25
Opowieść posapowigilijna. Mateusz Drozdowski 27
Totala dewigilizacja. Monika Błaszków 33
Postkosmos. Natalia Szołtysek 37
Wigilia post—. Olga Frydrychowicz 40
Wujek Leo. Patrycja Klimek 43
Postwigilijny spacer. Victoria Październy 44
Nowy rok, stary ja. Weronika Szymańska 45
Rozstania i powroty. Nikola Szczygieł 46
O-szukana. Maria Szczepańska 49

grafika na okładce: © canva.com

BEZ A

Aleksandra Krysińska

Witek wściekle wmusił w siebie resztki pokruszonej bezy ze spodeczków gości. Wszyscy już oczywiście wyszli, nie zrobił tego przy nich, żeby nie było. Wszyscy oprócz niego i Kim, oni musieli sprzątnąć.

Kim pędziło z miotłą od stołu do stołu, żeby pozbyć się tego, co przyszło nieproszone, tego wstrętnego chlewu, który podeszwy gości zniosły do ich przybytku. Witek powinien umyć kubki, miski, półmiski, półkubki, widelce, łyżki, noże i resztę srebrnych sztućców, określonych przez Kim obco brzmiącym imieniem, którego nie powtórzyłby, choćby uczył się go miesiąc. Mimo prostej instrukcji, jego chłopięce serduszko ścisnęło się, gdy zerknął pierw w stronę ogromnego stosu upieczonej niegdyś w obłej formie gliny, później w stronę swoich drobnych, miękkich dłoni, nie znoszących dotyku zielonego, pieniącego się płynu.

Pół biedy płyn, jeszcze są przecież resztki – to dużo gorsze! Rozmiękłe w wodzie jedzenie, to wymysł piekielny, był tego pewny. To powód, by nie odpuścić tej bezy, podobnie innych wypieków, które wcześniej kusiły błyskiem żelowej czerwieni i skrytą w niej czereśnią. Lepiej zjeść, niż pozwolić im złączyć się z wodą, czy, broń Boże, wyrzucić! Nic nie budziło w Witku równie dużego smutku, co myśl, że człowiek czy rzecz skończy się, nim dopełni swojego życiowego celu. Musi więc jeść.

– Witek, idź w końcu umyć ten stos, bo Jezus zdąży nie tylko się urodzić, co też umrzeć i się wskrzesić. – Kim kończyło już swoją cześć obowiązków. Śniło o ciepłej kołderce w domku i kubku gorącej melisy, zrobionej nie przez siebie, tylko przez Zosię. W końcu wypije coś, z czym jego zmysły nie zdążyły się oswoić przed spożyciem. Tyle że Kim nie mogło wyjść, dopóki Witek nie skończy. Mimo że go lubiło, to nie było pewne jego umiejętności i siły woli. Stos tej wielkości to nic śmiesznego, nie wszyscy mieliby moc, by go zwyciężyć.

– Może on tu poleży przez weekend. Później przyjdziemy z kuchcikiem Miłoszem, z kelnerką Mirą i wspólnie się zmierzymy z tym wszystkim?

Kim uniosło brwi wysoko pod włosy. Nic nie rzekło. Witek skulił się trochę.

– Ty nigdy nie biłoś się z przeciwnikiem silniejszym od ciebie, Kim? Nie wiesz, co czuję? Odeszły z twoich wspomnień momenty, gdy też byłoś drobnym, pełnym trwogi Kim, któremu wmuszono zbyt trudny orzech, żeby go zgryźć? – Z początku chłopiec mówił cicho. Z kolejnym momentem poczuł pewność i jego słowo niosło się po bistrze głośniej i głośniej.

Kim wytrzeszczyło oczy. Do tej chwili nie wierzyło w witkowe siły. Zdziwiło się Kim, choć pozytywnie. Blisko północy w wigilię świąt grudniowych Witek przemówił wreszcie swoim głosem.

– Jesteś gotów, Witku – szepnęło Kim.

Chłopiec cofnął się o krok, wybity z wzniosłych uczuć, które go wcześniej uniosły.

– O czym mówisz, Kim? Mogę iść do domu? – Wciąż niemądrze wierzył, że tę kwestię rozwiążą w ten sposób. Kim wstrząsnął chichot.

– Nie, głupi. Użyj tego gniewu i tych twoich innych emocji przeciwko brudowi, którym pokryło mi sztućce. Szoruj je i poleruj, do momentu, w którym nic już nie będzie. Ni brudu, ni tłuszczu, ni rozmokłego biszkoptu. I to co toczy ci serce też zniknie. Będziesz wolny Witku. Miej mój klucz. Posiedź tu tyle godzin, ile będziesz chcieć. – Wręczyło w jego miękkie dłonie błyszczący złoto klucz. Witkowi rozświeciły się oczy. Kim położyło mu rękę przy podbródku i uniosło go w górę. – Gdy wrócisz do domu, będą cię czcić niczym ludzi z pomników.

Witek skinął głową. Rzucił spojrzenie wrogowi, którego wygląd nie był już równie okropny. Mógł zwyciężyć. Więcej. Zrobi to! Nigdy już nie zwątpi w siebie.

Kim włożyło kurtkę, komin i beret. Podniosło torbę z podłogi, uśmiechnęło się, pchnęło drzwi wejściowe. Odwróciło się jeszcze tylko w progu.

– Żeby nie było nieporozumień – pieniądze będą te, co się umówiliśmy wcześniej. Bez bonusów. Przez trzy godziny chłonąłeś resztki bezy, nie sprzątnąłeś w ogóle nic. Rozumiesz? Nie chcę potem łez i pozwów. – Witek znów się skulił, mimo to skinął głową. Kim promiennie się uśmiechnęło. – No to wesołych! Nie puść wszystkiego z dymem. – I wyszło.

Witek zerknął w stronę stosu. On puścił mu oczko i wyszczerzył brudne kły. Chłopiec trzęsącą się ręką, sięgnął po gąbkę i butelkę z płynem. Już nie był pewien wyniku tej bitwy. „Będą mnie czcić, czcić mnie będą" – powtórzył sobie w głowie i ścisnął butelkę.

Opera o samotności

Alicja Malczyk

I

Nowy Jork, 24 grudnia

Sukces. To był ogromny sukces!

Wysoki, ciemnowłosy mężczyzna uśmiechnął się szeroko na widok Lilianny, która przed momentem zeszła ze sceny. Kobieta nie mogła nie odwzajemnić jego uśmiechu. Z radością objęła go, a on uniósł ją i zakręcił wokoło.

– Philip! – Napomniała go, śmiejąc się. – Postaw mnie na ziemi.

Zrobił to i ucałował ją w policzek.

– Jesteś genialna, Lily. Jesteś absolutnie genialna.

Lillianna wzięła głęboki wdech, usiłując się uspokoić. Gromkie, rytmiczne brawa wciąż były słyszalne z widowni. Publiczność domagała się więcej. Byli zachwyceni. Byli oczarowani.

– Lily!

Kobieta spojrzała na jedną z wiolonczelistek, która przed momentem również zeszła ze sceny. Należała do orkiestry, w której towarzystwie Liliana śpiewała arie operowe podczas ostatnich nowojorskich koncertów.

– Byłaś wspaniała – rzekła wiolonczelistka.

Zaraz za nią zjawiały się kolejne twarze muzyków z orkiestry, mijali Liliannę z uśmiechem na ustach, komplementując ją, podchodzili do niej, obejmowali, chwytali za dłoń.

– To będzie niezapomniany wieczór.

– Ludzie już zaczynają o nas mówić. A zwłaszcza o tobie. O twoim anielskim głosie.

– Chcą więcej.

– Bili brawa na stojąco…

Do Lilianny docierały urywki kolejnych komplementów i pochwał. Podzielała zachwyt wszystkich, z którymi wystąpiła.

– Moi kochani – zaczęła. – Ten sukces jest wspólny. Gdyby zabrakło choć jednego z was, dzisiejszy wieczór nie byłby tak spektakularny. Dzisiejszej nocy musimy to uczcić!

II

Warszawa, 24 grudnia

Ignazio zapalił zieloną świecę i postawił ją na środku stołu. Odsunął krzesło i usiadł przed talerzem pełnym barszczu z uszkami. Pewnie teraz powinien coś powiedzieć swojej żonie. Powinien się do niej uśmiechnąć, powiedzieć jej: smacznego kochanie, ewentualnie: *buon appetito tesoro*. Powinien jej powiedzieć, że pięknie dziś wygląda. Że cieszy się, że jest jego żoną i że spędzają te święta razem.

Ale nie powie. Ponieważ nie wie, jak dziś wygląda, ponieważ jest daleko stąd, ponieważ te święta spędza z kimś innym. Ignazio ten wieczór spędza sam, w towarzystwie zielonej świecy i kilku tradycyjnych wigilijnych dań, przygotowanych tak dobrze, jak potrafił.

Jadł, wsłuchując się jedynie w brzęk łyżki uderzającej o porcelanę i trzask płomieni w kominku. Kiedy skończył, spojrzał na wyświetlacz telefonu. Dostał kilka wiadomości z życzeniami świątecznymi, od przyjaciela, taty i siostry. Otworzył wiadomość od Fabrizio – przyjaciela, z którym znał się jeszcze od czasów dzieciństwa. Fabrizio przysłał mu zdjęcie ze swoją żoną i dwiema córkami na tle rozświetlonej choinki, prezentów, w kolorowych świątecznych swetrach. Przesyłał życzenia i pozdrowienia z Bolonii. Otworzył wiadomość od ojca, który oprócz życzeń, zapytał także, jak mija im wieczór wigilijny. Siostra przesyłała tylko życzenia, bez zdjęć, bez dodatkowych pytań o wigilię w Polsce.

Odpowiedział na wszystkie wiadomości. Wszyscy byli przekonani, że wszystko jest w najlepszym porządku. Że Ignazio właśnie spędza ciepłe i radosne święta z rodziną. Tymczasem Ignazio otworzył rozmowę ze swoją żoną i napisał: *Wesołych świąt, Lili. Jak mija ci Wigilia?*

III

Nowy Jork, 25 grudnia

Gdy rankiem Lilianna się obudziła, nie zdążyła jeszcze dobrze oprzytomnieć, a już była boleśnie świadoma, że ból głowy będzie ją dręczył przez co najmniej pół dnia. Wygramoliła się z łóżka i podreptała do stolika. Nalała wody i opróżniła całą szklankę za jednym razem. Odłożyła ją z głośnym stuknięciem na szklany hotelowy stolik, a jej spojrzenie padło na wielkie lustro na szafie. Otaksowała spojrzeniem swoją sylwetkę, aż jej wzrok zatrzymał się na twarzy. Miała rozmazany makijaż i całkiem zniszczoną fryzurę po wczorajszym wieczorze i reszcie nocy. Odwróciła wzrok z zażenowaniem. Na dłoniach miała złoty brokat, na nogach wymalowane złote brokatowe zawijasy, lecz nie pamiętała, skąd się tam wzięły. Co gorsza, wczoraj wypiła tyle alkoholu, że teraz jedyne, na co miała ochotę to

zasunąć kotary i zażądać, aby nikt jej nie przeszkadzał. Spojrzała na zegarek. Było już po południu. Nie mogła dłużej spać.

Wzięła prysznic i dopiero wtedy poczuła się nieco lepiej. Usiadła na łóżku i zapatrzyła się na nowojorską panoramę. Spędziła w tym mieście niecały miesiąc, a już była zakochana na zabój. Dzień powrotu do Polski zbliżał się nieubłaganie i już zaczynała tęsknić za wielkim światem, za koncertami, za śpiewem, za publicznością, za tym ekscytującym uczuciem, jakie dawał jej samorozwój, sukcesy, szacunek ze strony znanych artystów i krytyków. Kochała to. Była stworzona do śpiewania.

Sięgnęła po telefon i spostrzegła, że od wczoraj nazbierała się masa powiadomień. Wiadomości z gratulacjami, nowe artykuły w mediach o jej ostatnich koncertach, a zwłaszcza wczorajszym, nowi obserwatorzy na Instagramie i Facebooku, chwalebne komentarze, polubienia, maile, nieodebrane połączenia…

Jej wzrok padł na wiadomość od Ignazio. Napisał ją poprzedniego dnia o 17:43 polskiego czasu: *Wesołych świąt, Lili. Jak mija ci Wigilia?* Wigilia. Jej Wigilia nie przypominała żadnej z tych, jakie powszechnie spędzają ludzie. Jej Wigilia była pełna emocji, ekscytujących doznań, zachwytu publiczności, komplementów i świętowania sukcesu. Nigdy przedtem nie spędzała w taki sposób tego dnia. Nigdy przedtem też nie zapomniała o złożeniu życzeń tym, którzy nie spędzali z nią świąt.

Odłożyła telefon, nie odpisując na wiadomość.

IV

Warszawa, 25 grudnia

Jesteś dzielną pacjentką. Teraz nie będzie cię boleć. Odpocznij, a ja porozmawiam z twoją mamą, dobrze?

Ignazio posłał szeroki uśmiech dziesięcioletniej Helenie. Dziewczynka leżała na łóżku szpitalnym i odwzajemniła uśmiech, jednak po zabiegu wciąż była wyraźnie zmęczona. Ignazio wyszedł z sali, gdzie czekała zmartwiona czterdziestoletnia kobieta.

– Panie doktorze… – Zaczęła na jego widok i umilkła, widząc jego uspokajający wyraz twarzy.

– Wszystko jest w porządku. Zabieg przebiegł pomyślnie, Helena na razie musi zostać pod obserwacją. Proszę się już nie martwić.

– Całe szczęście – kobieta odetchnęła z ulgą i położyła dłoń na sercu.

– Po zabiegu ważna jest lekkostrawna dieta. Na pewno dobrze pani o nią zadba.

– Chciałabym ją zobaczyć…

– Naturalnie – Ignazio gestem dłoni zaprosił kobietę do środka.

Kobieta usiadła przy córce i ujęła jej dłoń, mówiąc coś do niej.

– Uśmiechasz się.

Ignazio wyrwał się z zamyślenia i spojrzał na Magdę, która przed momentem do niego podeszła. Oboje mieli tego dnia dyżur w szpitalu i obojgu to nie przeszkadzało. Magda była z Gdańska, ale święta praktycznie spędzała w pracy. Była młodą lekarką, która kilka miesięcy wcześniej dołączyła do personelu.

– Lubię patrzeć na rodziny, które naprawdę się o siebie troszczą. I lubię, kiedy medycyna rzeczywiście przynosi efekty. Ludzie nie cierpią. Zwłaszcza dzieci.

Magda pokiwała głową ze zrozumieniem i odgarnęła włosy z ramienia.

– Bez wątpienia masz powołanie do bycia lekarzem.

– Ty również. Odkąd tu jesteś, widzę, jak się angażujesz.

– I w rezultacie spędzamy święta w pracy. Żona nie jest rozczarowana, że nie ma cię w domu?

– Rozumie, że taki już urok tego zawodu.

Magda zamilkła na chwilę, jakby zastanawiała się, czy powinna powiedzieć coś, co krąży w jej myślach.

– Widziałam jej post na Instagramie – wyznała wreszcie.

– Post? – powtórzył ostrożnie. Nie sprawdzał telefonu od dzisiejszego ranka. Nie odpowiedziała mu na wiadomość i nie chciał sprawdzać telefonu, bo podświadomie wiedział, że spotka go kolejne rozczarowanie jej brakiem odpowiedzi.

– Z wczorajszego koncertu. I z późniejszej imprezy. Widać, że dobrze się bawi w Nowym Jorku.

Magda w mig wyjęła telefon z kieszeni kitla i po chwili odnalazła zdjęcie, o którym mówiła. Kilka pierwszych zdjęć zostało zrobionych na koncercie, ale na widok kolejnego Ignazio zbladł. Ujrzał żonę w jakimś drogim lokalu, w wystrzałowej kreacji i w otoczeniu muzyków z orkiestry. Lilianna trzymała w dłoni kieliszek szampana i uśmiechała się promiennie. Nie umknęło mu to, że Liliannę obejmuje Philip, Amerykanin, z którym przyjaźniła się, właściwie już odkąd skończyła studia.

– Ach, to. Tak, widziałem te zdjęcia. Nowy Jork jest ogromną szansą dla Lili. Dlatego pojechała do Ameryki. Wróci jeszcze przed Nowym Rokiem.

Ignazio nie był pewny, czy mówi to, bo nie chce, by ktokolwiek zobaczył, co naprawdę czuje, czy takimi słowami sam próbuje się przekonać i pokrzepić.

– Cóż, każdy ma jakieś priorytety – podsumowała Magda i z westchnieniem schowała telefon. – Wygląda na to, że oboje samotnie spędzamy święta.

– Magda! – Zawołała jakaś pielęgniarka z korytarza. – Jesteś potrzebna.

– Idę – odparła i z powrotem skupiła się na Ignazio. – W razie czego pamiętaj, że zawsze możemy się spotkać i pogadać.

Położyła mu dłoń na ramieniu i uśmiechnęła się uroczo, po czym odwróciła się na pięcie i odeszła.

V

Nowy Jork, 25 grudnia

Liliana w napięciu oczekiwała, aż sygnał połączenia się skończy i usłyszy głos męża po drugiej stronie. W Polsce powoli zbliżał się wieczór. Im dłużej czekała, tym bardziej uświadamiała sobie, że w gruncie rzeczy ma nadzieję, że nie odbierze… Gdy już miała się rozłączyć, usłyszała jego głos.

– Lili?

Usłyszała napięcie w jego tonie. Milczała kilka sekund, aż ponownie powtórzył jej imię.

– Cześć – odparła w końcu. – Wybacz, że nie dzwoniłam wcześniej, wczorajszego wieczora bardzo dużo się działo.

– Przypuszczam.

– Koncert był niesamowity. Myślę, że naprawdę im się podobało. Jestem bardzo szczęśliwa, Ignazio. Odniosłam sukces.

– Jestem z ciebie dumny. Nigdy nie wątpiłem w twój talent, Lili. Pojutrze wracasz?

Zapadła cisza. Teraz nastała ta gorsza część.

– Właśnie chciałam ci powiedzieć, że wczoraj poszło tak dobrze, że prawdopodobnie odbędzie się jeszcze jeden koncert, w Waszyngtonie. Tydzień po Nowym, Roku, dlatego…

– Przylecisz później.

– Przepraszam. Wynagrodzę ci to, obiecuję. Po prostu nie wyobrażam sobie…

– Przegapić takiej szansy, wiem. Wiem też, że rodzina nie jest dla ciebie najważniejsza.

– To nieprawda.

– Twoje czyny mówią coś innego.

Liliana usłyszała szuranie, jakby Ignazio odsunął krzesło.

– Muszę kończyć. Jestem w pracy. Wesołych świąt, Lili.

Zanim odpowiedziała, Ignazio już się rozłączył.

VI

Warszawa, 27 grudnia

W pierwszy poświąteczny wieczór ktoś zadzwonił dzwonkiem do drzwi. Ignazio natychmiast poszedł otworzyć z mocno bijącym sercem i nadzieją, że w progu ujrzy…

– Tatiana?

– Niespodzianka, braciszku! – powiedziała Włoszka z szerokim uśmiechem i objęła mocno Ignazio na powitanie. – Nie przyjechaliście do nas, więc uznałam, że to ja was odwiedzę. Dlaczego masz taką minę?

Przyjrzała mu się uważnie i zlustrowała go od stóp do głów.

– Gdzie Liliana? – zapytała.

Gdyby Tatiana korzystała z mediów społecznościowych, pewnie o wiele szybciej dowiedziałaby się o tym, gdzie jest Lili. Teraz, tak czy inaczej będzie musiała się dowiedzieć.

– Wejdź – odparł, przymykając oczy ze zrezygnowaniem. – Wszystko ci opowiem.

– Wyobrażałam sobie inaczej wasze małżeństwo – wyznała Tatiana, kiedy Ignazio zrelacjonował jej ostatnie wydarzenia. – Opowiadałeś, że jest tak fantastycznie, że jesteś z nią szczęśliwy…

– To Lili tak mówiła. Niemniej jestem z nią szczęśliwy. Nie zamieniłbym jej na inną kobietę.

– Nawet mimo tego, że ty najwyraźniej nie jesteś dla niej najważniejszy? – Przechyliła głowę z zaciekawieniem.

– Ona jest dla mnie najważniejsza. Chcę, żeby była szczęśliwa.

– Ona cię nie docenia – rzekła z lekkim uśmiechem i błyskiem w oku. – Powinieneś z nią szczerze porozmawiać. Kiedy mnie coś nie pasuje, zawsze rozmawiam o tym z Alessandro…

– Może masz rację. Ale ja…

Ignazio umilkł. Tatiana patrzyła na niego łagodnie, zupełnie nieprzejęta jego stanem. Znała brata jak własną kieszeń. Wiedziała, co w jakiej sytuacji powie i zrobi, a czego nie zrobi.

– Idę…

– Przejść się – dokończyła za niego.

– Właśnie. Muszę pomyśleć.

Założył kurtkę przed wejściem i wyszedł. Szedł przed siebie ulicą, pochłonięty myślami. Nie spostrzegł nawet, jak to się stało, że będąc na przejściu dla pieszych, nadjeżdżający samochód jest tak blisko i wcale nie hamuje…

Błysk. Pisk opon. Krzyk. Szarpnięcie. Uderzenie. Później zapadła ciemność…

VII

Warszawa, 28 grudnia

Na jednym ze szpitalnych korytarzy rozległ się szybki stukot obcasów. Nikogo ani z personelu, ani z pacjentów to nie dziwiło – nie pierwszy raz ktoś biegł korytarzem do swojego bliskiego, który przez nagły wypadek musiał się tutaj znaleźć.

Liliana nigdy nie sądziła, że przyjdzie jej przeżyć coś takiego. Jej serce było jak oszalałe, krew szumiała w uszach tak głośno, że nie mogła usłyszeć własnych myśli. Miała wrażenie, że minęła wieczność, odkąd otrzymała telefon od Tatiany, wsiadła w najbliższy samolot i przyjechała do szpitala.

– Ignazio! – zawołała, gdy wreszcie dotarła do sali szpitalnej, w której umieszczono jej męża.

Nagle jej szloch umilkł. Patrzyła na Ignazio, próbując pojąć, jak to się stało, że…

– Ignazio ma się dobrze.

Tatiana poklepała brata po plecach, który siedział na szpitalnym łóżku. Prawą rękę miał w temblaku, na twarzy kilka siniaków i zadrapań. Oprócz tego wyglądało na to, że nic poważniejszego go nie spotkało. Liliana usiadła obok męża i objęła go mocno.

– Żyjesz. Jesteś cały i zdrowy. Przepraszam. Tak bardzo cię przepraszam…

– Lili – spróbował ją od siebie odsunąć, ale nie pozwoliła mu na to. – Nic mi nie jest. Dlaczego jesteś taka roztrzęsiona? Tatiana ci nie opowiedziała?

– Powiedziała mi, że miałeś wypadek. Że zostałeś potrącony i trafiłeś do szpitala. A potem… Że twój stan jest krytyczny. Że możesz tego nie przeżyć.

Tym razem pozwoliła się odsunąć. Otarła oczy jedną dłonią, lecz drugą wciąż ściskała palce swojego męża. Ignazio spojrzał ponad ramieniem Liliany na siostrę. Ta wzruszyła niewinnie ramionami.

– Być może podkoloryzowałam niektóre fakty…

– Lili, nie doszło do aż tak groźnego wypadku. Gdyby Tatiana nie szła za mną tamtego wieczora, to nie szarpnęłaby mnie sprzed kół samochodu. Nie skończyło się jednak bez ran – poruszył złamaną ręką w temblaku. – Ale mogło być gorzej.

– Powiedziałaś tak, bo uznałaś, że jeśli powiesz mi prawdę, to nie przylecę? – Zapytała Liliana Tatiany.

Tatiana ponownie wzruszyła ramionami z nieodgadnionym uśmiechem.

– Zostawię was.

– Przepraszam, Ignazio – powiedziała Liliana, spuszczając głowę. – Czuję się źle z tym, że twoja siostra musiała skłonić się ku takiemu rozwiązaniu, by mnie tu sprowadzić.

– Gdybym wiedział, nigdy bym jej na to nie pozwolił. Teraz pewnie wrócisz i…

Odwrócił wzrok.

– Nie opowiadaj bzdur, *tesoro*. Kiedy twoja siostra do mnie zadzwoniła i później myślałam o tym… – Pokręciła głową. – Nie wybaczyłabym sobie, gdybym miała cię stracić. Utrata ciebie byłaby dla mnie gorsza niż utrata głosu.

– Mimo wszystko, jestem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, bo wróciłaś.

Ujęła twarz w jego dłonie i uśmiechnęła się.

– Ja też, Ignazio. Ja też.

Cud Jaśminowej Dziewczyny

Anna Nocoń

Precelki z plastiku, z których powoli schodzi farba. Prawdziwe nie przetrwałyby próby czasu. Obok nich bombki. Klasyczne – czerwone i ciemnozielone, posypane złotkiem (to brokat? czy coś innego się na nie sypie?). Nad nimi misie, serduszka i jednorożce kupione na wyprzedaży 2+1 gratis. Najlepsze ozdoby zawsze są na górze z przodu, najgorsze upchane na tyle, byle nie było widać, byle stwarzały pozory. Na czubku anioł – dostojny, zaklęty poza czasem, choć podobno anioły wcale nie mają biało–złotych, puchatych skrzydeł – kolejny dowód na to, że od prawdy wolimy nasze wyobrażenia o kimś. W tę kiczowatą instalację wmontowane są światełka, których rozplątywanie trwa tyle, ile podróż do Maka i z powrotem. A drugie tyle zajmuje rozwieszanie ich tak, żeby jakoś wyglądały. Przecież lubimy, kiedy coś jakoś wygląda. Tak więc wiszą białe kuleczki, które nocą zawsze wydają się piękniejsze niż za dnia. Jaśmina leżała na kanapie, kontemplując pokraczne, sztuczne drzewko. Jej nogi zwisały swobodnie na oparciu. Boże Narodzenie przywitało ją pulsującym bólem głowy, który powoli przemieszczał się po całym ciele. Trzeba było ograniczyć wino. Nadludzkim wysiłkiem było dla niej sięgnięcie po jedyny prezent, jaki w tym roku dostała – ręcznie malowany kubek ze świątecznym wzorem. Mały jamnik w mikołajkowej czapce spoglądał z niego swoimi słodkimi oczami. W tym momencie pilnował lekko musujących elektrolitów, które zdaniem towarzyszki jej niedoli miały postawić ją na nogi i to błyskawicznie. Jaśmina była dość sceptycznie nastawiona do cudownych właściwości płynu, ale posłusznie chlipała go łyk za łykiem. Dojście do siebie zajęło zmęczonemu umysłowi chwilę, po której w bólach podniosła się i poszła uchylić okno. Chciała móc powiedzieć sobie, że świeże powietrze może zdziałać cuda, jednak poranny zimowy smożek szybko uzmysłowił jej, iż dobrymi chęciami piekło brukowane, a zamiast pokoju, prędzej wywietrzy osiedle. Powstrzymała się jednak przed natychmiastową ucieczką od powietrza wątpliwej jakości i zaczęła obserwować otoczenie, szczególną wagę przykładając do warunków atmosferycznych. Zielona trawa, która bardziej przypominała kwiecień niż grudzień oraz słońce radośnie obwieszczające poranek bez cienia chmurki sprawiły, że usłyszała w głowie słowa babci: „Wto to widzioł, żeby Dzieciątko w Polsce mogło se pomyśleć, że je w jakijś Chorwacji… a żłóbek równie dobrze można wymienić na stołek łogrodowy, przynajmniej się Ponbóczek nie zgrzeje". Wszystko to w połączeniu z obrazem babci upychającej małą figurkę Zbawiciela na plażowym leżaczku dawniej należącym do jej starych lalek wysłało ją w podróż do ostatnich rodzinnych Świąt, jakie pamiętała. Rzucanie się śnieżkami z tatą w drodze ze szkoły, lepienie bałwana, zapach pierogów, grochówki i najlepszego na świecie sernika babci. Człowiek patrzył na rodziców transportujących prezenty pod choinkę, którzy odbijali się w szybie podczas poszukiwań pierwszej gwiazdy na niebie i myślał, że tak już będzie zawsze… Z całej tej wesołej sceny została tylko

stara choina i ona „Jaśminowa Dziewczyna", jak nazywała ją kiedyś rodzina. Podróż po wspomnieniach przerwał sygnał telefonu. „Taniec Cukrowej Wieszczki" z coraz większą stanowczością przemierzał mieszkanie, czekając, aż ktoś wyłączy alarm. Okno trzasnęło i po chwili sygnał ustał. Jaśmina wpatrywała się w ekran telefonu przypominającego o wieczornym wydarzeniu. Wyzerowała resztki magicznego płynu z kubka, wolną ręką sięgając po wieszak ze starannie przygotowanym dzień wcześniej ubraniem. Babcia od małego uczyła ją, że powinno się wszystko szykować z wyprzedzeniem – ubrania, jedzenie i plecak do szkoły. Praktyczne, kiedy człowiek lubi dłużej spać. A nie oszukujmy się – kto nie lubi? Ubrana w zieloną, rozkloszowaną sukienkę z krótkim rękawem i czarne rajstopy dziewczyna rozpuściła włosy i nanosząc delikatny makijaż, spojrzała w stronę otwieranych drzwi mieszkania. Wpadła przez nie jej przyjaciółka od zbawiennych elektrolitów

– Juna. W różowym dresie. Z talerzem pierogów. Jaśmina stanęła jak wryta, z tuszem, który zamiast na rzęsy, trafił na garb jej nosa.

– Nie mów mi, że poszłaś biegać w Boże Narodzenie… I co ty trzymasz w łapie? Przecież wczoraj zrobiłaś listę 10 powodów, dla których nienawidzisz pierogów w każdej formie – wyrzuciła jednym tchem, usiłując jednocześnie zetrzeć czarną smugę nawilżaną chusteczką.

– Ciebie też miło widzieć, Jas. Po pierwsze nie było żadnej listy. A po drugie wzięłam dres ze sobą na wszelki wypadek, a jako że śnieg znowu nas nie zaszczycił, poszłam na spacer – odpowiedziała Juna, odkładając talerz z jedzeniem na stół. – A pierogi nie moje, tylko pani Kazi. Kazała Ci przekazać – dodała, prezentując ruskie przerysowanym gestem.

– Jakiej Pa… Aaa Pani KRYSI… Anioł nie człowiek, zawsze mnie dokarmia od – urwała w pół zdania, czując, że grunt zaczyna osuwać jej się spod nóg. – W każdym razie na szczęście mam coś dla niej – mrugnęła porozumiewawczo. Sięgnęła po czerwone zawiniątko tkwiące na półce, skrywające wykonaną przez Junę misę i wcisnęła je do torebki, tuż obok dwóch dużych zniczy i sztucznych kwiatów. – Wychodzę. Jak możesz, to wstaw…

– Taa, pierogi do lodówki. Nie jestem głupia. Ogarnę tu trochę i lecę do domu – odpowiedziała, pochłaniając wzrokiem pozostałości wigilijnej zabawy.

– Dzięki za wszystko – ubrała płaszcz i posłała przyjaciółce buziaka w powietrzu. – Wpadnij potem. Dzieciaki się ucieszą – dodała, wkładając botki i otworzyła drzwi mieszkania.

– Nie obiecuję, ale może do Was dołączę – usłyszała jeszcze Jaśmina, po czym zbiegła po schodach.

Zatrzymała się jedynie przy drzwiach Pani Krysi, by zostawić prezent na wycieraczce. „Dobrze, że chociaż na klatce pachnie jak w restauracji. To ten czas w roku – zapach kapusty z grochem, karpika z rzeki mulastej z auchanowskiej promocji" – pomyślała dziewczyna. Zapukała do drzwi. Unikając kontaktu ze starszą Panią, skierowała się do wyjścia z budynku. Dzisiaj starała się ograniczyć rozmowy z ludźmi do minimum. Zawsze była zdania, że kiedy człowiek boli sam siebie, nie powinien psuć

innym humoru. Należy usunąć się w cień. A ona i tak będzie musiała z niego wyjść już za parę godzin. Uciekanie przed ludźmi rankiem w Boże Narodzenie (bo dwunasta to chyba prawie rano?) nie jest takie trudne. Na ulicach pusto, jak gdyby wszystkich wywiało. Nie trzeba nawet zakładać słuchawek, żeby się odizolować, bo nie ma od kogo. Ale z przyzwyczajenia i tak to zrobiła, a w jej uszach zagościła ulubiona playlista ze świątecznymi hitami. Zasada jest prosta. Ma być skocznie, pogodnie i ciepło. W teorii, żeby ocieplić klimat, a w praktyce, żeby się do niego dostosować. Droga na cmentarz upłynęła Jaśminie dość szybko, gdy tak szła, lekko przytupując w rytm muzyki i nucąc pod nosem pojedyncze wersy. Idąc w kierunku grobu rodziców, minęła kilka osób. Byli to głównie starsi ludzie, jednak zdarzyło jej się dostrzec także grupkę dzieci w towarzystwie dwójki dorosłych. Jeden maluch nawet do niej pomachał. Szybko odwróciła wzrok. Ból, który przed momentem był tylko echem, znów zaczął narastać. Wszystko wewnątrz niej krzyczało, by wrócić do domu. Ale znalazła w sobie dość siły, by iść dalej. Iść i zatrzymać się tam, gdzie nie powinna stać. W miejscu, które nie powinno istnieć. Jeszcze nie.

Damian Norek
Jagoda Norek
Lub krócej
Tata
Mama

W głowie Jaśminy zawirowało od strzępków wspomnień. Tych ledwie uchwytnych. Przysypanych kurzem czasu. Pisali wspólnie listy do Mikołaja i Dzieciątka. Upierała się, że trzeba pisać osobno, bo przecież mogą nie przekazać sobie informacji lub coś pokręcić po drodze. Szukali pierwszej gwiazdy na niebie. Obserwowała mamę malującą w kącie pokoju. Tata rzeźbił w drewnie. Świąteczne motywy były najbardziej opłacalnym motywem, który pozwalał im dorobić do pensji pochodzącej z „odpowiedzialnej i prawdziwej" pracy. Pamiętała sweter na drutach, który mama specjalnie dla niej zrobiła. Już nigdy nie będzie mogła założyć tego podarunku. Oddała go najważniejszej osobie w jej życiu. Na wszelki wypadek. Gdyby po tamtej stronie ludziom też doskwierał czasem chłód. Obraz swetra tkwiącego w dłoniach babci sprawił, że odechciało jej się wspominać przeszłość. Szybko wyciągnęła znicze, zapaliła je i wymieniła bukiet kwiatów na nowy. Odmówiła w pośpiechu modlitwę, zrelacjonowała rodzicom najważniejsze punkty z minionego miesiąca swojego życia i odeszła, nie oglądając się za siebie.

W drodze do stowarzyszenia usiłowała zająć czymś myśli. Muzyka już nie pomagała. Głowa jej pękała. Wypełniały ją wyrzuty sumienia, że znowu nie potrafiła odwiedzić Małgosi. Osoby, która całą jesień życia poświęciła, by ją wychować. Jaśminę palił wstyd, więc postanowiła się schować. Uciec

myślami otoczenia: reniferów, sani, lampek, choinek, pierników, śnieżynek. Im starsza się stawała, tym coraz bardziej kwestionowała sens pojmowania Świąt jako rodzinnego czasu przepełnionego magicznymi chwilami, na które w tym świecie trzeba wydać całą pensję. Nic dziwnego, że dorośli rzadziej niż dzieci odliczają dni do festiwalu sprzątania, kłótni z losowymi ludźmi w sklepach i na ulicach, wydawania pieniędzy i czasu na bzdury, które znikną w ten czy inny sposób. Pomimo że to wszystko od dawna siedziało jej w głowie, jakaś cząstka wewnątrz niej dalej chciała wierzyć w sens czegokolwiek – w pierogi babci, drewniany domek zrobiony przez tatę w pewien wigilijny wieczór, w ich ostatnie wspólne jasełka… Może to wszystko to coś więcej niż marketingowa sztuczka bogatych ludzi i wielkich korporacji? Chciała wierzyć, że dzieciaki pomogą jej dzisiaj zobaczyć to, czego przestała być pewna. Istniał tylko jeden sposób by się przekonać.

Poznała Dom Bez Bramy na praktykach. Jako studentka pedagogiki miała obowiązek gdzieś przepracować za darmo dwa miesiące swojego życia, więc wybrała pierwsze lepsze miejsce, które zaoferowała jej uczelnia. Poczucie, że to, co robi, ma sens oraz niesamowita atmosfera, której nie oddałyby żadne słowa, zatrzymały ją tu na dłużej. Pomagając dzieciakom niekochanym, zapomnianym, z przypiętą łatką „patologia", tak naprawdę pomogła sama sobie. Przeprowadziły ją one przez dni wypełnione mrokiem. Chciała się im za to odwdzięczyć, dlatego zaproponowała bożonarodzeniową inicjatywę „Narodzimy się na nowo" – pokaz młodych talentów. Przygotowania trwały od tygodni. Dzieci oraz starsi wolontariusze podzielili się na kilka grup, by wspólnie zorganizować skromny posiłek oraz część artystyczną. Zaplanowali krótkie przedstawienie, słuchowisko i koncert, a kilka dni temu udekorowali świetlicę, żeby przygotować ją na wydarzenie. Na ścianach poprzypinali białe, papierowe śnieżynki. Przy wejściu do budynku oraz po obu bokach niewielkiej sceny ustawili sztuczne choinki, z których gałęzi zwisały rozmaite ozdoby. Na suficie w centralnym miejscu głównej sali przywiązali świąteczny wieniec z okolicznej kwiaciarni. Ustawione w dwa rzędy stoły udekorowali czerwonymi obrusami i ustawili na nich świece stworzone podczas jednego z warsztatów. Jaśmina z kubkiem kawy w ręce podziwiała efekty pracy podopiecznych. Kiedy zaczęli się schodzić, każdemu z nich składała życzenia i obdarowywała uśmiechem i przytulasem. Widziała przejęcie, a nawet stres na ich młodych, niewinnych twarzach, które napełniały ją radością pomieszaną z dumą, że udało się dać im przestrzeń, głos, kawałek pasji, których nie mogli znaleźć w domach.

Przez próbę generalną przebrnęli w pośpiechu. Dziewczyna była zbyt zajęta dopieszczaniem ostatnich detali, by wsłuchać się w to, jak idzie dzieciakom. Wreszcie na miejsce zaczęli docierać pierwsi goście i cała inicjatywa nabrała rozpędu. Po oficjalnym otwarciu nadszedł czas na recytację fragmentów zimowych opowieści w wykonaniu grupy przedszkolnej. Następnie na scenę wkroczyli młodzi aktorzy odpowiedzialni za przygotowanie przedstawienia. Podczas ich występu Jaśmina zaglądała ukradkiem na twarze obecnych rodzin i dostrzegała w jednych łzy, w innych coś na kształt bólu przysłoniętego lekką warstewką uśmiechu. Zacisnęła dłonie pod stołem, chcąc uczepić się

nadziei, że może ten wieczór odmieni los chociaż jednego z tych dzieci. Jej bohaterów. Jej przewodników. Trwała tak, nadal zamknięta na ludzi będących tuż obok, aż do momentu, gdy na scenie ustawił się zespół muzyczny. Damian nerwowo zaciskał dłonie na gitarze, Jagoda rozstawiała klawisze, a Michalina poprawiała statyw mikrofonu. Ubrani na biało, ze starannie ułożonymi włosami wyglądali jak anioły z obrazów. Piosenkarka szukała kogoś wzrokiem. Jaśmina dokładnie wiedziała, o kogo chodzi i to ścisnęło ją za gardło. Żeby dodać im otuchy, rozejrzała się po sali i zaczęła bić brawo, by zachęcić pozostałych do tego samego. Udało jej się osiągnąć zamierzony efekt. Po chwili na twarzy Michasi pojawił się cień uśmiechu i delikatny rumieniec. Spojrzawszy na przyszłą pedagożkę, zaczęła śpiewać „Kolędę dla nieobecnych". Jednak już po pierwszych kilku słowach cały obrazek się rozsypał. Gdy niemalże siłą wyrzuciła z siebie słowa „zabrakło znów czyjegoś głosu", zrobiła się czerwona, a po policzkach spływały łzy. Słychać było już tylko melodię graną przez coraz bardziej zmieszanych Jagodę i Damiana. Ludzie spoglądali jedni na drugich, nie wiedząc, jak się zachować. Wtedy Jaśmina postanowiła, że dosyć izolowania się. Trzeba ratować Michasię! Czym prędzej wbiegła na scenę, kucnęła przy dziewczynce i czule ją przytuliła. Na sali zapadła absolutna cisza. Wypuściła dziecko z objęć, spojrzała na muzyków. Wyszeptała tylko: „Od początku". Ściskając za rękę Michalinę, podniosła się do pionu i wspólnie zaczęły śpiewać. Po chwili dołączyły do nich pozostałe dzieci, ich rodziny, pracownicy oraz inni goście. Nie było osoby, której głos nie dygotał. Po twarzach zgromadzanych spływały strużki łez, a muzyka stała się energią krążącą w ich duszach. Jednak jak każda piękna chwila, ta również dobiegła końca. Posypały się oklaski, a Jaśmina poczuła, że to odpowiednia pora, by zejść ze sceny. Zanim to zrobiła, dostrzegła jeszcze znajomą sylwetkę w drzwiach. Juna wycierała właśnie oczy chusteczką. To pierwszy raz w ciągu ich dziesięcioletniej przyjaźni, gdy widziała ją płaczącą. Tymczasem dzieci kontynuowały koncert. Jaśmina podeszła do przyjaciółki.

– Muszę przyznać, że nie spodziewałam się, że jednak się pojawisz – powiedziała, przytulając ją na powitanie. – Nie wiem, ile widziałaś, ale musisz przyznać, że mamy zgraną ekipę.

– Tak, są całkiem dobrzy. Ten numer z piosenką to totalny wyciskacz łez. Posłuchaj… Właściwie to nie planowałam przychodzić, ale gadałam ze współlokatorkami i… – zaczęła. – I chcemy, żebyś się do nas wprowadziła. Na jakiś czas.

– Co? Przecież mam już dom. Nic z tego nie rozumiem.

– Ryju, to nie jest dom, tylko muzeum. Widziałam cię tam wczoraj, przedwczoraj, miesiąc temu, pół roku temu. Zamiast żyć plączesz się tam jak jakaś zjawa.

– No i? To dlatego mam zostawić miejsce, gdzie się wychowałam? Bo trochę mi smutno, gdy jestem w nim sama?

– Trochę? Przecież ty się wczoraj rozpłakałaś jeszcze przed deserem. Sama wiesz najlepiej, że nikt nie powinien czuć się najgorzej na świecie w swoim domu. Proszę, zgódź się – wyrzuciła z siebie Juna na jednym oddechu, ściskając ją za ramiona.

– Specjalnie wybrałaś ten wieczór, żeby mi o tym powiedzieć, prawda? – odparła Jaśmina, mrużąc oczy.

– Przyznaję się bez bicia. Wiedziałam, że zależy ci na tym evencie i będziesz bardziej skłonna rozważyć naszą propozycję. Dziewczyny mega się cieszą na twoją wprowadzkę. Od dawna kogoś szukamy i nie potrafiłyśmy znaleźć nikogo odpowiedniego. To znak, jak nic! – wpatrywała się w nią robiąc swoją popisową minę kota ze Shreka.

– Dobra. Zastanowię się, bo faktycznie od wczoraj – przerwała, widząc podejrzliwość wkradającą się na twarz Juny. – Od dawna czuję się coraz gorzej. Ale mam warunek. Zostaniesz dzisiaj do końca i pomożesz mi ułożyć plany na konkurs.

– Jaki konkurs?

– Zaraz wszystko ci opowiem. Chodź tam – zakończyła dyskusję, ciągnąc swoją przyszłą współlokatorkę w stronę wolnego miejsca.

Przez resztę wieczoru wspólnie omawiały pomysł, który zrodził się w głowie studentki. W skrócie polegał on na tym, by połączyć pasje i umiejętności podopiecznych stowarzyszenia, przygotować musical i wysłać go na letni konkurs organizowany przez miasto. Zamierzała odwdzięczyć się im za najlepszy prezent, jaki dostała. Zrobić dla nich coś wyjątkowego. Gdy już wszystko ustaliły, wydarzenie chyliło się ku końcowi i postanowiły się zbierać. Przy wyjściu spotkały jednak Michalinę, która bardzo dziękowała Jaśminie za wsparcie i na odchodnym powiedziała coś, co na zawsze zapadło dziewczynie w pamięć: „Chciałam tylko ci powiedzieć, że wszyscy dzisiaj pierwszy raz w życiu poczuliśmy, że ktoś chce nas widzieć i słyszeć. To było nasze najlepsze Boże Narodzenie!"

I właśnie w tej chwili Jaśminowa Dziewczyna zaczęła wierzyć, że „jeśli chce zobaczyć cud, musi sama stać się tym cudem"[1].

[1] Cytat z filmu "Bruce Wszechmogący", reż. Tom Shadyac

Pierwsza gwiazdka

Karolina Roszak

– Grzybową zjesz czy barszczyk?

Ciotka patrzy na mnie wnikliwie. Paznokciami pokrytymi czerwonym lakierem, miejscami nieco zdrapanym, stuka w kryształową szklankę. W kryształowej szklance ma już mniej niż połowę zawartości. Za chwilę wstanie, szurając kapciami przejdzie z kuchni, aż do salonu i wyjmie z barku kolejną butelkę whisky. Nawet nie będzie się specjalnie kryła z piciem przed południem w Wigilię. Rodzinna tradycja.

– Z uszkami ten barszczyk czy z ziemniaki jak wujek Józek?

Przyzwyczajona do tego, że ona nigdy nie czeka na moją odpowiedź ani reakcję, mieszam kawę. Oczywiście mam rację. Ciotka wstaje, szura głośno nie tylko kapciami, ale także krzesłem. Wraca po chwili i siada na tym samym miejscu. Wkładam do ust dwa ostatnie kawałki tostu z serem.

– Głowa mnie rozbolała. Położę się na chwilę. Kawę dopiję na górze. – Odwracam się do niej tyłem i natychmiast odchodzę. Gdyby zechciała cokolwiek mi powiedzieć, jestem gotowa udać, że w ogóle jej nie słyszę.

Przezornie zamykam drzwi pokoju gościnnego, który miał być mój przez kilka tygodni. Pierwsza napotkana przeszkoda to porzucony na podłodze resorak Antosia. Porcelanowa panna stojąca w gablocie, odziana w długą suknię i niebieski kapelusz, zdaje się wpatrywać wprost we mnie. Tuż nad nią na wyższej półce swoje miejsce ma porcelanowy słonik z dużą trąbą, prawdziwy talizman przynoszący szczęście.

Słyszysz, porcelanowy słoniku?

Słyszysz?

W stojącym na nocnym stoliku radiu zaczynają grać *Blue Christmas* w wykonaniu Brendy Lee. Podręcam pokrętło regulujące głośność, by ciotka na dole usłyszała jedynie muzykę, żadnych szmerów.

I'll have blue Christmas that's certain

Różowa walizka obdarta z każdej strony po wielomiesięcznej tułaczce nie zakończy jeszcze swojej przygody. Nie tutaj, nie teraz. Wstaję cicho, ściągam ją z szafy i zaczynam wkładać do środka swoje rzeczy. Cały swój dobytek zamykam w jednej torbie i małym plecaku.

Nie wiem, gdzie się zatrzymam, właściwie przez myśl mi nawet nie przechodzi, że stanowi to jakiś problem. Wyjdę niepostrzeżenie i będę dziś sama wypatrywać pierwszej gwiazdki.

Wigilijnie

Katarzyna Mazur

– Wiesz, że jeżeli się tym podzielisz z innymi, to stracą do ciebie szacunek? – zapytało ja, drugie ciemne, bliźniacza siostra.

– Permanentnie*, I don't care* – parsknęłam w odpowiedzi.

Czas zjednoczyć się ze sobą. Kimkolwiek jestem. Gdziekolwiek. Wiesz… mam dwadzieścia trzy lata i w tym samym czasie pięć. Byłam ona, jej… każdym zaimkiem, ale teraz chcę się przyznać do siebie, do swojego imienia. Bez przemilczeń, bez eufemizmów. Tylko Ty i Ja na ostatniej stronie.

– Zjedz karpia, kluski zostaw – powiedziała mama, zaznaczając tym samym zwykłą–niezwykłość tego magicznego dnia.

– Dam radę, wszystko jest pyszne, potrzebuję tylko chwili przerwy – mówiąc, spojrzałam na swój wydęty jak balonik brzuch.

Siedzące osoby w wigilijny wieczór zatapiają się w obraz. Dwaj jasnoocy identyczni panowie z nadwagą, twarzą jak dojrzały ziemniaczek i przylizanymi brylantyną blond włosami zawiązanymi w uroczą, króciutką kitkę. Jeden na trąbce, drugi śpiewał, ale tym razem nie o kretowiskach, ale jedną z żywszych, góralskich kolęd.

– Hej kolęda, kolęda – krzyknął pan Zygmunt, teść brata i po chwili dodał, ciszej prawie normalnie, zwrócony do mnie – ostatnio, gdy się spotkaliśmy, nie byłaś na pasterce, ani na mszy. Jesteś niewierząca?

Zbił mnie z tropu tym nagłym pytaniem. Nie mam w zwyczaju opowiadać o moich intymniejszych sprawach. To znaczy, gdyby zapytał o sprawy łóżkowe, może mniej bym się zarumieniła, niż teraz. Chociaż w sumie, kto wie?

– Nie modlę się do tego boga.

Przez piętnaście minut opowiadałam mu o moim zainteresowaniu żywym obszarem mitologii, o książkach, o różnicach między politeistami, poganami, ateistami, a on i wszyscy zebrani zdawali się oczarowani takimi ciekawostkami. Cieszyłam się, że ktoś zapytał bez uprzedzeń. Okazał mi szacunek.

– Jeśli chcesz, to wyłączę tę przaśną kolędę i obejrzymy setny raz Kevina – spojrzał na resztę gości i dodał – co wy na to?

Wszyscy w odpowiedzi zaczęli się śmiać radośnie i dokazywać prawie tak samo, jak maturzyści z chemii, a nawet lepiej...bo nikt nie musiał iść do pracy.

– Super, jak dla mnie bomba – roześmiałam się i dodałam – a kto czytał i uwierzył ten trąba.

Wyłącz antyfonę, nadajnik, czy coś innego...co takiego? Wyłącz marzenia.

Jak było?

Ona milczy, zastygła w martwej pozie karpia z wyłupiastymi ze strachu oczami. Nagle wszystkim uginają się kolana niedaleko Jasnej Góry, ale przed innym jasnym… ikoną z jaśniejącym, długowłosym blondynem. Serce ma na dłoniach. Wszyscy klękają w jednej sekundzie. Zdecydowanie się spóźniła o parę lat, żeby zrozumieć, że musi. Spóźnia się teraz, ale już rozumie, że nie warto się wychylać. Zaciska szczękę. Jeszcze myśli jak się wydobyć z paszczy lwa. Zasłania ją stół, więc siada na skraju kanapy. Chyba nikt nie widzi. Nikt nie zauważył. Dookoła trans. Pierwsze zwycięstwo.

Ona bierze opłatek i składa nawzajem. Może przechodzi przez pięć góra sześć życzeń. Zjada resztę. Krzywi się, bo nie podają miodu. Gdzieś przez głowę przelatuje jej wspomnienie jakiegoś kapłana, który wciskał jej do ust paluchy wraz z hostią. Dobrze, że tyle. Zdecydowanie tyle wystarczy. I to jest drugie zwycięstwo.

Tak, ja pragnę się do nich zdystansować i do niej. Póki mogę. Może do następnej wigilii? Może, gdy słowa prawdy nie ugrzęzną mi w ustach?

Śnieżna nić

Klaudia Wolska

Był mroźny, ale piękny grudniowy poranek. Hania już od samego świtu przyglądała się białemu puchowi, który sypał z nieba okalając całą okolice. Zaspy śniegu formowały się nadzwyczajnie szybko, a małe rączki dziewczynki nie mogły doczekać się aż ulepią ogromnego bałwana. Marchewka na nosek oraz czarne węgielki na oczy już leżały w gotowości koło drzwi wejściowych. Tupot jej malutkich nóżek niósł się echem po całym domu, a jej taniec szczęścia mógłby rozweselić niejednego ponuraka. Hanka czekała z niecierpliwością na przyjazd taty, który miał zabrać ją, jak co roku na sanki. To była ich tradycja, gdyż po rozstaniu i wyprowadzce widywał się z nią sporadycznie. Pierwszy raz w życiu w tak ważnym dla niej dniu, spóźniał się, a błysk w jej oczach gasł z każdą minutą. Zmartwiona mama pocieszała dziewczynkę mówiąc że:

– Kochanie, nie martw się. Tatuś przyjedzie, na pewno zatrzymało go coś ważnego albo utknął w korkach.

– Tatuś już o mnie zapomniał i nie psyjedzie. – Dziewczynka pocierała zabrudzonymi od węgla rączkami swoje szklące od powstrzymywanych łez oczy, gdy nagle ktoś zatrąbił. – To na pewno tatuś! – Wesołe okrzyki oraz piski radości wydobywały się z jej umazanej, czarnej buźki.

Hanka na boso wybiegła na śnieg i rzuciła się w ramiona obładowanego prezentami mężczyzny.

– Przepraszam cię, skarbie, ale przez ten okropny mróz nie mogłem odpalić samochodu. Akumulator padł mi niemal całkowicie – powiedział uśmiechnięty tata.

Mężczyzna podniósł Hankę i postawił ją dopiero na podłodze w przedpokoju, gdzie zirytowana mama marszczyła brwi, spoglądając groźnie na byłego męża.

– Tatuś, co mi kupiłeś? Domek dla lalek? – dopytywała. – Plosę. powiedz, że tak! – Podskoczyła radośnie dziewczynka.

– Dla mojej małej księżniczki wszystko, czego sobie tylko zażyczy – postawił wielkie różowe pudełko na ziemni i zwrócił się do byłej żony. – Nie spinaj się tak, bo ci żyłka pęknie, żmijo. Uprzedzam, że po świętach występuje do sądu o przyznanie mi całkowitej opieki nad Hanką.

– Po moim trupie, weekendowy tatuśku. Pozdrów ode mnie tą tandetną wywłokę, którą sobie przygruchałeś! – Wściekła kobieta ubrała zimowy płaszcz i ruszyła w stronę samochodu, po drodze odpalając papierosa.

– Nie kłóćcie się z mamusią, plosiee – powiedziała smutna dziewczynka.

– Mama już poszła i będzie święty spokój. A teraz szybko ubieraj buciki, a ja podepnę sanki do auta i zrobimy sobie kulig śnieżny.

– Ale supel! – Hanka w pośpiechu ubrała buty i usiadła wygodnie na sankach.

Mężczyzna zabezpieczył córkę, wsiadł do samochodu i delikatnie ruszył. Razem objechali całą okolice, a następnie zatrzymali się na gorącą czekoladę. Karczma miała góralski wystrój, a w środku uwagę przykuwał ogromny kominek. Zmarznięta Hania wzięła do ręki gorący napój i sączyła powoli, szczękając z zimna zębami. W rogu sali siedział przebrany za Świętego Mikołaja mężczyzna, który miał krzywo przyklejoną brodę i bujał się na boki niczym szympans w zoo. W jego towarzystwie siedziała mama Hanki, a z jej wargi sączyła się krew

– Tatuś, zobacz, tam jest dziwny Święty Mikołaj z mamą. Co on tutaj lobii? – zapytała zaskoczona dziewczynka.

– Mikołaj troszkę się źle czuje i czeka na elfy z reniferami, aby wrócić do swojej magicznej krainy, a mama z pewnością mu pomaga.

W tym samym momencie Święty Mikołaj stracił równowagę, a jego potargane spodnie zsunęły mu się z tyłka. Hanka roześmiała się na cały głos, ale po chwili zaniemówiła, gdyż zobaczyła jak ten sam Pan, co przed chwilą leżał na podłodze, szarpie za włosy jej mamę i wymierza jej siarczysty policzek oraz cios prosto w oko. Tata dziewczynki natychmiast interweniuje i wyrzuca agresora z budynku, co nie jest trudnym zadaniem, gdyż oprawca ledwo stoi na nogach, a z jego ust wydobywa się odór sfermentowanego alkoholu.

– Jak się czujesz? Mogę ci jakoś pomóc? Kim był ten pijany facet? – zapytał zatroskany mężczyzna, a dziewczynka przylgnęła do swojej mamy i nie chciała jej wypuścić z objęć.

– Dziękuje, wszystko w porządku. To był mój nowy partner, Paweł, który czasem nie umie nad sobą panować, ale to moja wina, bo go zdenerwowałam. Na trzeźwo jest troskliwy i czuły. Jutro na pewno mnie przeprosi. – Wybuchła płaczem, a jej okolice prawego oka zaczęły przybierać sino–filetowe barwy.

– Jak możesz spotykać się z kimś, kto stanowi zagrożenie dla Hanki? – zapytał wzburzony.

– A ty jak możesz spotykać się z tą młodą, sztuczną lafiryndą. Przecież mógłbyś być jej ojcem.– krzyknęła zbulwersowana.

– Kobieta, z którą mnie widziałaś, to moja nowa sekretarka Alicja. Nic mnie z nią nie łączy, oprócz wspólnej pracy – wysapał zirytowany.

– Boże jaka ja byłam głupia. Przepraszam za wszystko i obiecuje, że już nigdy nie spotkam się z Pawłem. Gdyby nie moja paranoja i zazdrość, pewnie nadal bylibyśmy szczęśliwą rodziną.

– Nigdy w życiu Cię nie zdradziłem. Te wszystkie awantury i sceny zazdrości były chore, ale gdy dziś zobaczyłem Cię z tym gnojkiem, to wszystkie uczucia od nowa odżyły.

– Wybaczysz mi kiedyś? Może zostaniesz dziś u nas na noc ? Przygotuje twoją ulubioną kolację, a i Hania na pewno się ucieszy.

– Taak, jupii. Tatuś zostań z nami plosie.

– Dobrze, zostanę, kolacja to świetny pomysł. Spróbujmy się jakoś dogadać i naprawić to, co obydwoje spieprzyliśmy.

Hanka z nadzieją patrzyła w przyszłość, ponieważ pierwszy raz od dawna, miała przy sobie całą rodzinę w komplecie. Rodzice przestali się kłócić, a świąteczna atmosfera udzieliła się wszystkim. Małżeństwo postanowiło dać sobie drugą szansę i po świętach wybrać się na umówią terapię dla par. Dziewczynka znów mogła czuć się bezpiecznie, ale obiecała sobie, że już nigdy nie napisze listu do Świętego Mikołaja, którego utożsamiała ze złym Pan.

Rodzice czytali dziewczynce bajkę na dobranoc, a gdy skończyli Hanka powiedziała, że:

– Mikołaj jest głupi i nawet nie potrafi założyć sobie paska. Jak można zgubić spodnie?

– To nie był prawdziwy Mikołaj, tylko Pan, który się za niego przebrał. Mikołaj jest dobry i daje prezenty wszystkim grzecznym dzieciom.

Opowiastka post–wigilijna

Magdalena Gołąbek

Wchodzisz do galerii handlowej, jesteś poddenerwowany, bo niby przedświąteczne okazje, niby wszystkie przecenione, ale wiesz, że tak naprawdę płacisz więcej, czasem nawet drugie tyle. Skąd to wiesz? Bo zdrapałeś pomarańczowa naklejkę na metce z napisem obniżka i widzisz pierwotną cenę. Dziś 200 zł przecenione z 300, a wtedy? kosztowało 100. Wspaniała okazja! Żyć nie umierać! Niech żyje kapitalizm i pieprzeni marketingowcy. Mijają dwa tygodnie, ceny powinny wrócić do normy, ale nieee.... Teraz przyszedł czas na POświąteczne "promocje". Co robisz? Zaciskasz zęby, głaszczesz swój portfel i mówisz, że po wypłacie go nakarmisz, ale teraz on musi nakarmić Twoją rozbestwioną rodzinkę. Dla mamy przeceniony krem z Ive Rosche (musisz wymienić prezent, bo znów nie trafiłeś i połowę Wigilii słuchałeś narzekań, jak to nikt jej nie słucha. Żeby utyskiwania nie przeciągnęły się do Wielkanocy, trzeba coś z tym zrobić już teraz). Za tydzień masz urodziny, więc firma w gratisie daje Ci jeszcze płyn do golenia. Wspaniale! Prezent dla ojca z okazji nadchodzących imienin też już odhaczony. Jezus Maria, dlaczego wszyscy wyciągają ręce na raz? Przyszedł czas na siostrę i sporą rekompensatę za drobną przysługę, którą Ci raczyła udzielić. W życiu nic za darmo nie ma – jak widać nawet wśród rodzeństwa. Kupiłbyś książkę, ale gdzie tam ona i czytanie. To oksymoron. Ewentualnie dorzucisz jej do prezentu swoją własną, ale to dopiero za parę miesięcy, kiedy w końcu ją wydasz. To dopiero będzie jazda. Mój tata górnikiem, moja mama prawnikiem, jestem urodzonym artystą albo, żeby się rymowało – pisarczykiem. Poezja – hit hitów. Już widzisz miny rodziny na to, co znajdą w środku. Ale to dopiero za jakiś czas. Tymczasem dostajesz z plaskacza w twarz po ponownym wylądowaniu na ziemię.

– Pan jest chory!

– Przecież powtarzam pani, że 3 dni temu te spodnie kosztowały 150, a nie 200!

– Jak Pan ich nie chce, to proszę wyjść!

– Ale ja muszę je kupić i kupię za 150!

– Dziś są za 200 i taniej ich nie sprzedam!

– Przecież to rozbój w biały dzień!

– Inflacja panie! Nas wszystkich dotyczy.

– Ale wiszą tu plakaty, że macie przeceny.

– Tych spodni najwyraźniej to nie dotyczy.

– Ale na metce było napisane...

– Było, ale nie ma! Wynoś się Pan!

– Nie, nie popuszczę, o nie! To jest oszustwo! Okradacie najbiedniejszych!

– Patrząc na pański płaszcz i buty, śmiem wątpić.

– Mówię w imieniu całego społeczeństwa.

– Jakoś inni nie pieprzą trzy po trzy jak Pan, tylko biorą, co jest.

– Jeszcze tu wrócę!

– A ja panu przed nosem zamknę drzwi!

O tym, jak polubiłam święta

Magdalena Jaraczewska

Zazwyczaj kiedy ktoś pyta, mówię że nienawidzę świąt. Nie że od razu jestem Grinchem i zakazałabym wszystkim cieszenia się z Gwiazdki, ale moje pozytywne wspomnienia z tym świętem kończą się wraz ze skończeniem dwunastego roku życia. Potem pozostała jedynie nerwówka, dopinanie wszystkiego na ostatni guzik za wszelką cenę i praktycznie dwa dni siedzenia w kuchni bez wytchnienia.

O dziwo, w tym roku było inaczej. To były jedne z najspokojniejszych i przyjemnych świąt w ciągu całego mojego życia. Mała ilość stresu, gonienia się i pracy w kuchni i przy sprzątaniu, jakby dom miała odwiedzić inspekcja stworzona z połączenia Magdy Gessler i perfekcyjnej pani domu w jednej osobie.

Każdy zrobił bare minimum i wszystko było świetnie. Nie było pośpiechu z gotowaniem i nikt nie tłukł garnkami od siódmej rano. Może i zjedliśmy trochę późno, ale czy dzięki temu jeszcze bardziej nie cieszyliśmy się jedzeniem? Czy nie docenialiśmy go tym więcej?

Zapytacie pewnie, cóż w tym takiego wyjątkowego. Otóż zazwyczaj już na dzień przed wigilią nastroje w naszym domu są co najmniej bojowe. Atmosfera jest napięta a każdy spina się o najmniejszą pierdołę. Kłótnie wynikają z najgłupszych powodów i nikt nie jest spokojny ani zadowolony. Co w takim razie zmieniło się w tym roku?

Wszyscy byliśmy chorzy. Nikt nie miał siły ani ochoty się denerwować i przemęczać, dlatego szliśmy na ustępstwa bez jakichkolwiek prób negocjacji. Nikomu nie zależało już na perfekcji i kolejnym upieczonym cieście, musiało wystarczyć to, na co mieliśmy siły i największą ochotę.

Miałam wrażenie, że w końcu odkryłam tę mityczną 'magię świąt' i mogłam nacieszyć się spokojem i odpoczynkiem, jak należy. I chociaż każde ciasto tym razem nie wyszło i było zakalcem, miałam większą satysfakcję niż zazwyczaj sięgając po kolejny kawałek.

Teraz, kiedy święta się skończyły i pozostały po nich tylko dekorację i resztki z wigilijnej kolacji (które starczą na kolejne kilka dni), leżę na puchowym dywanie w częściowych ciemnościach swojego pokoju i wpatruje się w migoczące światełka – od zawsze mój ulubiony element bożonarodzeniowych dekoracji. Oświetlają pomieszczenie w bardzo konkretny sposób, nie zbyt natarczywie ale i wystarczająco, by widzieć wszystko wokół. Okalają otoczenie swoją poświatą w wyjątkowy sposób, sprawiając że wszystko wydaje się bardziej przytulne i ciepłe. Zachęcają do odpoczynku i relaksu.

Od teraz, święta będą mi się kojarzyły wyłącznie z taką atmosferą.

Pierwsza Wigilia

Maria Podstawska

Z trudem otwieram oczy, powieki wydają się ciężkie. Wszystko wokół mnie jest zamazane, nie mogę dostrzec przedmiotów, które mnie otaczają, jakbym wszystko okryła gęsta mgła. Podpieram się łokciem i siadam opierając się o poduszkę. Kilka sekund zajmuje mi przypomnienie sobie gdzie jestem. Mrugam kilka razy, oddycham powoli. Skupiam się, by wdychać tlen, klatka piersiowa powoli unosi się i opada. Rozglądam się. Mój pokój wygląda tak samo jak poprzedniego dnia: ściany nadal mają odcień błękitu, meble są mahoniowe, a na parapecie stoi storczyk, który regularnie podlewam. Musiałam bardzo długo spać, zwykle mi się to nie zdarza. Raczej nie mam problemu, by wstać wcześnie rano.

Powoli wygrzebuję się z łóżka, szybko myję zęby w łazience. Przemywam twarz zimną wodą, czuję chód na skórze, to choć trochę budzi mnie do życia. Patrzę w lustro i myślę, że muszę po prostu przetrwać ten dzień. Kiedy minie dwanaście godzin, będę mogła z powrotem wrócić do łóżka, zakopać się pod kołdrą i nie wychodzić z niej, aż do Sylwestra. Wychodzę stawiając powolne kroki. Podłogę pokrywają resztki papieru do pakowania prezentów w odcieniach, zieleni, czerwieni i żółci. Trzeba będzie to posprzątać. Z pewnością zajmie to trochę czasu. Zawsze sprzątałaś wszystko na bieżąco, gdybyś tu była na nie doszłoby do takiej sytuacji.

Ale to nie tragedia, po prostu bałagan. Posprzątamy po śniadaniu. Siadam przy stole usłanym śledziem, szynką i sałatką warzywną. Wszyscy rozmawiają cicho, ale ja nic nie słyszę. Czuję się tak, jakbym była za szklaną szybą. Brat prosi, żebym podała mu masło. Musi trącić mnie łokciem, żeby jego słowa do mnie dotarły. Spełniam prośbę, po czym robię sobie śniadanie. Jedna kromka z pewnością wystarczy, mimo pustego żołądka nic więcej nie przełknę.

Mama zrobiła śledzie z wędzoną śliwką. Zawsze się o to kłóciłyście. Nie mogłaś zrozumieć, jak można zrobić śledzia i zepsuć go jakimś tam owocem. Miałaś swoje zdanie i musiałaś je wypowiedzieć, a tak się składało, że zawsze miałaś inne zadanie niż mama. Córki kłócą się z matkami. Spoglądam na choinkę, w tym roku zdecydowaliśmy się na mniejszą. Udekorowaliśmy ją złotymi bombkami i łańcuchem lampek. Przypomina mi to pierścionki, które nosiłaś. Nigdy nie zakładałaś jednego, było ich więcej. Najbardziej lubiłaś ten z rubinem. Mimo wieku, uwielbiałaś się stroić. Na każdym rodzinnym przyjęciu wyglądałaś pięknie.

Nie czuję smaku jedzenia, wydaje się zrobione z tektury. Wypijam tylko herbatę z cytryną. Wczorajszy wieczór nie był szczególnie wesoły. Niby wszystko było tak jak zawsze. Złożyliśmy sobie te same sztampowe życzenia jak co roku, zjedliśmy kolacje, spędziliśmy czas. Ale nie mogliśmy nie

zauważyć, że jedno miejsce jest puste. Nikt tam nie usiadł. Nie chodzi wcale o miejsce dla nieoczkiwanego gościa.

To było twoje miejsce. Mama nie chciała, by ktokolwiek tam usiadł w Wigilie, dlatego zostawiliśmy je puste. To były pierwsza Wigilia, kiedy nie musieliśmy dawać wszystkich talerzy na stół. Trzeba było odpuścić sobie jedno nakrycie. Było o jeden talerz mniej, o jednego gościa mniej. Czuję łzę spływającą po policzku. Muszę położyć kwiaty na twoim grobie. Chcę żebyś zawsze miała świeże chryzantemy.

Opowieść postapowiglijna

Mateusz Drozdowski

24.12.2022, godz. 14.30

Gruby basowy głos unosił się ponad rozmowami innych. Był donośny i szeroki. Mógłby należeć do Mikołaja, tego świętego co to prezenty roznosi, ale nie, nie należał do niego. Ten śmiech, czy może bardziej rechot był drwiący, lekceważący, jakby mówił: jestem lepszy od was, a to, że dzisiaj siedzę z wami przy stole jest dla was łaską. Jehosz, starając się ukryć wyraz niechęci na twarzy, zerknął ukradkiem w stronę szefa. Piotr, jeśli chodzi o tuszę zdecydowanie mógłby być Mikołajem, to na pewno, ale łysina, kępki kilkudniowego zarostu i lubieżnie wydęte wargi temu przeczyły. Jego pomocnica Pani Mikołajowa, czy jak sama się przedstawiała: „jestem Marysia" też nie była podobna do tej ciepłej, pomocnej kobiety, którą przedstawiano w filmach, czy bajkach. Pani Maria, jak do niej mówił Jehosz, w końcu do cholery nie byli już w przedszkolu, blond pustogłowa dziunia z krwiście czerwonymi ustami pochwyciła spojrzenie Jehosza i posłała mu, w swoim mniemaniu, miły uśmiech. Ten skrzywił wargi i ponownie skupił się na swoim kubku z herbatą. Przyrównanie tej kobiety do Pani Mikołajowej nie mogło być bardziej mylne. Maria była nad wyraz niekompetentna, złośliwa i z lubością rzucała innym kłody pod nogi. W biurze zastanawiano się, jak taka osoba mogła zostać asystentką szefa. Były różne teorie.

Wszyscy czekali na pierwsze danie. Miał nim być barszcz z uszkami. Jehosz, jak przeważnie lubił tę potrawę, tak teraz odczuwał pewien niepokój. Powodem było to, że szef sknera zamiast zamówić profesjonalny catering zrzucił przygotowywanie dań wigilijnych na swoich pracowników, że niby to zacieśni ich więzi. *Ta, na pewno, taki ch*… Pomyślał, Jehosz. Grubas po prostu chciał zaoszczędzić i skłócić pracowników, a jeżeli nie skłócić to przynajmniej poróżnić i dać powody do obgadywania za plecami. Przecież wiadomym było, że każdy w domu ma różne tradycje wigilijne, każdy też może inaczej przyrządzać poszczególne dania. Dlatego komentarze w stylu: „co za idiota dodaje do śledzia mandarynki! Obrzydlistwo!", były bardziej niż pewne. A do tego wszystkiego, kto normalny robi wigilię pracowniczą dwudziestego czwartego grudnia!

Dlatego Jehosz czekając na uszka, które miał zrobić grzybiarz amator Pan Andrzej, odczuwał niepokój. Zastanawiał się co to będą za grzyby, czy będą dobre i najważniejsze, czy w ogóle jadalne, czy grzybiarz z rocznym doświadczeniem potrafi odróżnić szatana od prawdziwka. Jehosz sam tego nie potrafił, dlatego gdy Andrzej postawił przed nim talerz z barszczem z tytki i pływającymi weń sześcioma uszkami, mocno rozważał zrezygnowanie z tej potrawy. Niestety Andrzej siedział naprzeciwko niego. Teraz zamiast jeść swoją porcję przyglądał się kolegom z biura łasy na ich pochwały. Wszyscy zawzięcie i w dziwnym milczeniu zajadali się uszkami. Jehosz czekał. Dopiero

świdrujący wzroki i oczekiwanie na twarzy Andrzeja skłoniły go do sięgnięcia po łyżkę i spróbowania barszczu. Barszcz, jak barszcz z tytki, czyli dobry i bezpieczny. W końcu przyszła pora na uszko. Dosyć duże, z o wiele za grubym ciastem, zdaje się, ze nawet lekko niedogotowanym. Po rozgryzieniu grzyby wydały się Jehoszowi jakieś dziwne. Kwaśne? A gdy po przełknięciu na jego języku pozostał piekący posmak, w duchu zaczął się żegnać z życiem. Wypił jedynie barszcz, nie miał zamiaru jeść pozostałych uszek. Wymówił się tym, że grzyby zawsze powodują u niego ból brzucha i potworne gazy, co było nieprawdą. Po prostu nie chciał kłaść na szali własnego życia. Andrzej ze zrozumieniem pokiwał głową i zabrał się do swojej porcji.

Inni biesiadnicy zajadali się uszkami chwaląc ich autora, przez co Jehoszowi wydało się, że to może on jest jakiś dziwny i ma uszkodzone kupki smakowe. Jednak pozostał przy swoim i zostawił uszka w pustym talerzu.

Po pierwszym daniu rozmowy znowu rozbrzmiały. Basowy rechot oraz wtórujący mu śmiechokaszel Marii unosiły się nad tym wszystkim.

– Jehosz, już dawno miałem się spytać – Zagadnął siedzący obok Jakub. – Skąd takie niecodzienne imię?

– Moi rodzice należą do kościoła zielonoświątkowców, dlatego takie imię.

– Aaaa. – Zastanowił się chwilę. – A wy obchodzicie wigilię? Z resztą czekaj, później mi powiesz. Teraz idę przygotować rybę. Będzie karp i ligawa. Mam nadzieję, że lubisz.

Jehosz pokiwał głową, że raczej tak i napił się herbaty, ponieważ zaczęła go męczyć zgaga. Jakub uśmiechnął się, wstał od stołu i poszedł do kuchni. W jadalni zrobiło się głośniej, rozmowy powoli stawały się coraz bardziej bełkotliwe. Widać nikt nie wylewał wina za kołnierz, mimo, że na stole nie stało zbyt wiele butelek.

Zgaga stawała się coraz bardziej dotkliwa.

25.12.2022, godz. 7.36

Silne skurcze żołądka wybudziły go z omdlenia. Ogłupiały i wciąż nie do końca przytomny starał sobie przypomnieć kim jest i co się właściwie dzieje. Wstrząsnęły nim suche torsje. Miał wrażenie, że jego żołądek zaraz wywinie się na drugą stronę, jednak wymioty nie następowały. Dusił się przez jakiś czas męczony spazmami, jednak tylko żółć podchodziła mu do gardła, a z ust wydobywało się jęczenie konającego. Gdy torsje ustały, Jehosz pozostał na miejscu. Całe jego ciało drżało jak po długiej chorobie. Zaropiałe, posklejane oczy nie chciały się uchylić. Oddychał płytko przez usta. Zatkany nos przepuszczał niewiele powietrza. Kwaśny odór wymiocin drażnił, piekł w gardle, świdrował przytkany nos. *Czyli jednak wymiotowałem*, pomyślał. Jego umysł zaczynał się budzić, ociężale i z mozołem, ale jednak. *Teraz po prostu nie mam już czym.*

Przezwyciężył niemoc i poruszył się delikatnie. Zorientował się, że siedzi, a jego barki i głowa na czymś leżą. Prawy policzek dolegał do czegoś twardego. Czuł na nim wilgoć. Gdy w końcu udało mu się uchylić lewe oko zobaczył porozrzucane naczynia. Opierał się głową o stół. Po chwili zauważył, czerwonawą breję rozlewającą się pod jego głową. Uniósł się z wysiłkiem. Kwaśny odór nasilił się, a na prawej stronie twarzy Jehosza pozostały przyschnięte wymiociny. Jęknął z odrazą i jednym otwartym okiem wypatrzył serwetkę. Gdy chciał po nią sięgnąć zorientował się, że ręce ma spięte w nadgarstkach trytytką. Coraz bardziej skonfundowany podniósł serwetkę i zaczął wycierać twarz. Udało mu się rozkleić drugie oko, oczyścić policzek, jednak w pozlepianych włosach w dalszym ciągu pozostawały resztki przetrawionego jedzenia.

Jehosz rozejrzał się dookoła. Jadalnia była zdewastowana. Porozrzucane i poniszczone naczynia. Poprzewracane krzesła jakby ludzie się nimi rzucali, jedynie choinka zdawała się wyjść cało z tej zawieruchy. Jehosz zachodził w głowę starając sobie przypomnieć co się stało, dlaczego ma związane ręce, co się wydarzyło podczas wigilii i gdzie są wszyscy jego współpracownicy. Dezorientacja, niepokój, a w końcu strach podsuwały mu najróżniejsze scenariusze.

Zobaczył na stole strzępki papieru do pakowania prezentów, a wśród nich krótkie zakrzywione ostrze. Sięgnął po nie, a gdy zaszeleścił papierem ktoś cicho zajęczał. Jehosz drgnął przestraszony i się rozejrzał. Nie dostrzegł nikogo, jednak zdawało mu się, że dźwięk dochodził zza stołu, jakby ktoś leżał na podłodze przy drewnianym, kwadratowym filarze. W dalszym ciągu słyszał z tamtej strony jakby chrobotanie korników. Gdy wyłuskał z papieru ostrze okazało się, że jest to mały składany nożyk z krótkim zakrzywionym ostrzem i pędzelkiem po drugiej stronie. Ostrze było dosyć tępe, jednak po chwili udało mu się przeciąć trytytkę. Zarówno tę spinającą jego nadgarstki, jak i kostki.

Dźwięk rozbijanego szkła dochodzący z kuchni przestraszył Jehosza. Jego serce zaczęło bić szybciej. Zapomniał już nawet o odorze wymiocin i pozlepianych włosach. Zastrzyk adrenaliny spowodował, że osłabione ciało przestało drżeć i zaczęło słuchać właściciela. Rozszalała i bujna wyobraźnia podsuwała mu co chwila inne, coraz dziwniejsze wyjaśnienia zaistniałej sytuacji. Od gangu Mikołajów złodziei, terrorystów, kosmitów po śmiertelnego wirusa. Jehosz wstał ostrożnie. Zamarł, gdy doznał olśnienia. *To te pierdolone grzyby! Tak czułem, że ten idiota nas potruje. Grzybiarz zasrany!* Hałas w kuchni powtórzył się, teraz komuś spadł garnek. Zabierając ze sobą nożyk do grzybów Jehosz podszedł do uchylonych drzwi. W środku zobaczył Andrzeja, który pochylał się nad zlewem i czegoś tam szukał. Wszedł do środka, jednak nie zauważył rozbitej szklanki i nadepnął na szkło. Ten dźwięk spowodował, że Andrzej się wyprostował i odwrócił z budzącą grozę powolnością. *Zombie… Czemu to zawsze muszą być zombie!* Grzybiarz amator z trupiobladą cerą, wydłubanym jednym okiem, zakrwawionymi ustami i poplamioną krwawym barszczem białą koszulą rzucił się na Jehosza. Ten z przerażeniem odskoczył do tyłu i pomny tych wszystkich filmów o zombie, które wieczorami z lubością oglądał, z rozmachem wbił Andrzejowi nożyk do grzybów prosto w skroń. Grzybiarz jęknął

jakby ze zdziwieniem (hęęę, to już?) i zwalił się pod nogi Jehosza. Ten oddychał głęboko. Na sztywnych nogach odsunął się i zerknął na nieruchome zwłoki Pana Andrzeja. Czekał. Nasłuchiwał. Nikt więcej go nie atakował, jedynie jęk w salonie spod stołu ponownie rozbrzmiał.

Jehosz złapał kilka głębszych oddechów, by uspokoić rozszalałe serce i stłumić burzę myśli. Nie wiedział czy powinien być przerażony (a był), mieć wyrzuty sumienia, (które miał, bo przed chwilą zabił, było nie było, kiedyś–człowieka), czy być z siebie dumnym, ponieważ przeżył, przynajmniej chwilowo, i zabił swojego pierwszego zombiaka. Wybrał to ostatnie. Skoro cała ta sytuacja była absurdalna on też mógł się w taki sposób zachowywać. Lata oglądania filmów/poradników jak radzić sobie podczas apokalipsy zombie w końcu mu się do czegoś przydadzą.

Uklęknął przy Andrzeju, obrócił go na plecy i wyciągnął nożyk z jego skroni. Przyjrzał się swojemu pierwszemu zombiakowi. Szara, nabrzmiała skóra, przekrwione oko, wyszczerzone zęby, w których utknęły resztki mięsa, zakrwawione usta i broda oraz plamy krwi na koszuli. Przykładowy model zombie, jak w skroń strzelił.

– Masz, chuju, swoje grzybki. To pewnie ty nas wszystkich potruleś – szepnął do truchła.

Dobrze, że nie zjadłem wszystkich. Podniósł się i przeszedł do salonu, by sprawdzić jęki, które z stamtąd dobiegały. Podszedł do stołu i omijając poprzewracane krzesła zaczął go okrążać. Przy okazji przyglądał się rzeczom pozostawionym na blacie. Impreza musiała się toczyć do momentu rozpakowywania prezentów, ponieważ wszędzie walał się papier oraz na wpół rozpakowane prezenty.

Gdy Jehosz przeszedł na drogą stronę stołu zobaczył, że do stojącego tam filaru przywiązany jest Mateusz. Oczywiście zombie. Leżał on na brzuchu, jego nogi oplatały słup i były spięte w kostkach trytytką, przez co księgowy nie mógł się podnieść ani odczołgać. Usta miał zaklejone srebrną taśmą. Gdy zobaczył Jehosza zajęczał, obrócił się w jego stronę i chciał się zacząć czołgać w jego stronę, jednak przez to, że był przywiązany, robił to w miejscu. Chrobotał zakrwawionymi palcami po drewnianej posadzce, wyłamując i wyrywając sobie paznokcie.

Jehosz podniósł jedno z krzeseł i podszedł do Zombieteusza. Oparciem przygniótł jego ręce do podłogi, tak by ten przestał się szamotać. Przydepnął krzesło, by uwolnić ręce i sięgnął po stojący na stole niewielki sejf biurowy. Dziadostwo ważyło z dziesięć kilo. Uniósł wyżej, wycelował i upuścił. W salonie rozszedł się dźwięk pękającej czaszki oraz mokre plaśnięcie. To był koniec jęków Mateusza.

Niestety upadający, dziesięciokilowy sejf narobił trochę hałasu. Ośrodek, w którym została zorganizowana wigilia rozbrzmiał chóralnym jękiem wygłodniałych zombie. Jehosz odsunął się z mieszaniną odrazy i zadowolenia na twarzy. Otworzył butelkę coli i zwilżył wyschnięte i obolałe wymiotami gardło. Rozejrzał się po stole i podniósł kolejny z porzuconych prezentów. Nowiutki, diablo ostry nóż do filetowania ryb. Schował ostrze do pochwy i wetknął za pasek.

Ruszył na poszukiwanie innych przydatnych, praktycznych i kreatywnych przedmiotów, które mogą mu pomóc w obronie przed zakusami zombie. Wśród porzuconych prezentów znalazł kombinerki, dłuto, ośnik prosty, chiński tasak – prawdziwe cudeńko, gwoździarkę do betonu, blender bezprzewodowy oraz elegancki i poręczny kij golfowy. Ten ostatni był prezentem od wszystkich pracowników dla szefa. Dziadostwo kosztowało blisko trzy tysiące, więc musiało dobrze leżeć w dłoni i epicko rozwalać łby zombiakom. Jehosz postanowił, że zostawi go sobie na deser.

Pierwsza do jadalni wpadła Maria. Jehosz rzucił w nią krzesłem przewracając na ziemię, po czy błyskawicznie przygwoździł ją do ziemi wykorzystując pneumatyczną gwoździarkę do betonu. Unieruchomiona kłapała zębami ale nie była w stanie się ruszyć. Jehosz zastanawiał się przez chwilę, który prezent może należeć do niej.

– Ach, no tak. – Pacnął się w czoło. – Już pamiętam. Tadeusz coś wspominał, że kupi ci blender. Wiesz co, to ja ci go oddam.

Poczwórne ostrza ze stali węglowej nie miały problemu z gałką oczną. Następnie trzeba było użyć trochę więcej siły, ale w końcu udało się dostać do nadzienia. Zombie Marysia znieruchomiała. Kolejny był Bartek, na którym Jehosz wypróbował ośnik prosty. Narzędzie było dosyć niewygodne i mało praktyczne w walce z zombiakami, jednak wystarczająco ciężkie, by rozwalić nim czachę żywego trupa.

Jehosz starał się dopasowywać prezenty do ich właścicieli, dlatego gdy zaszedł na piętro, gdzie były pokoje dla gości i stanął naprzeciwko szefa, odrzucił gwoździarkę, którą mu się świetnie pracowało i sięgnął po kij golfowy.

Piotr wyglądał najgorzej ze wszystkich zombiaków. Miał otwarte złamanie kości piszczelowej. Jego gruby, napuchnięty brzuch pokrywały ślady po ugryzieniach i zakrzepła krew. Miał rozerwany policzek w którym ukazywały się zęby oraz odgryziony nos.

Boss, przez to, że miał połamaną nogę, poruszał się najwolniej spośród całej hałastry. Jego przeciągłe jęki i wymachiwanie rękami uzbrojonymi jedynie w serdelkowate palce nie mogło zagrozić Jehoszowi. Chciał on podejść do tego z zimną krwią, jednak przypomniał sobie, że zaistniała sytuacja jest tylko i wyłącznie winą stojącego przed nim grubasa.

– Pieprzony sknerus McKwacz – wysyczał ze złością.

Ruszył ze złością na zombie. Zamachnął się i uderzył w cały piszczel pozbawiając tym samym Piotra możliwości poruszania się, grubas padł jak długi. Przez to, że był zbyt ciężki nie mógł się nawet czołgać. Rękami starał się sięgnąć Jehosza, jednak ten, mocnymi uderzeniami wyeliminował również to zagrożenie. Drogi kij kruszył kości jak marzenie.

– Masz za swoje skąpy grubasie, a wystarczyło zadbać o catering, ale nie, bo po co, skoro można zaoszczędzić parę stów i przy okazji pognębić swoich pracowników. – Odpowiedziało mu jedynie pojękiwanie i kłapanie zębami.

Za ostatni cel wybrał sobie okrągły, przypominający trochę piłkę golfową łeb zombiaka. Przymierzył się, wziął szeroki zamach i uderzył… Piłka nie poleciała zbyt daleko. Zapadła cisza. Ośrodek był pusty, oczywiście nie licząc ciał zombie. To było wszystko w sprawie wigilii pracowniczej. Jehosz okładał jeszcze przez chwilę nabrzmiałe brzuszysko Piotra wyładowując na nim frustrację, złość i dziwną, wzbierającą w nim od dłuższego czasu chęć mordu. Gdy opadł z sił uklęknął nad truchłem i użył na nim noża do filetowania ryb. W drodze powrotnej na dół podszedł do każdego z dwunastu (trzynastu, licząc Marię) unieszkodliwionego przez siebie zombie.

Zachlapany płynami ustrojowymi, skrzepłą krwią i resztkami mózgów zszedł do jadalni i usiadł przy stole. Gdy adrenalina zaczęła opadać zorientował się, że jest potwornie głodny.

Przeszedł do kuchni i zrobił sobie trochę barszczu. Wrócił z talerzem do jadalni. Usiadł i zapatrzył się w parującą krwiście czerwoną zupę. Czegoś w niej brakowało. Z kieszeni wyciągnął oślizgłe, okrwawione ochłapy chrząstek i skóry. Wrzucił je do zupy. Uszka unosiły się w cieplutkim czerwonym barszczu.

Totalna dewigilizacja

Monika Błaszków

Lampki pogasły, karp był przetrawion. Obudziłem się lekki jak płateczek śniegu. Zastanawiałem się, leżąc pod pierzyną w gwiazdki, kto i za co ceni święta? Uznałem, że uformowało się kilka głównych grup fanowskich. Pierwszą byli wielbiciele tradycji. Drugą – obżartuchy dziesiątego stopnia. Trzecią – prezenciarze–dzieciaki. Czwartą – masochiści, pasjonaci śniegu. Ja jednak nie należałem do żadnej z tych kategorii. Od dziecka traktowałem Boże Narodzenie jako unikatowy, jedyny w swoim rodzaju zestaw bezużytecznych czynności. Dlatego właśnie, niezwykle ukontentowany, rozpocząłem kolejny bezwigilijny okres mojego życia.

Zaplanowałem sobie nowy grafik, ściśle wypełniając go inspirującą mieszaniną debilizmów, takich jak: pucowanie mieszkania, wchłanianie kilometrów parówek, rozwój zwojów mózgowych, rękodzieło koślawe, nauka stania na palcach, obserwacja homo sapiens czy niedopuszczenie do znudzenia poprzez przepracowanie. Słowem, to była kolejna ciekawa forma roczna. Plan na pseudo rozwój, ewentualnie delikatne uwstecznienie. Każdy poranek otwierać miała przy tym wizualizacja, relaksujące nutki i warstwa serum z Korei na skórze.

Pierwsze dwa dni poszły mi gładko. Banan na twarzy, pełne skupienie, tabela na nowy dzień życia. Potem jednak nadszedł kryzys. Zaczęło mi towarzyszyć jakieś nieokreślone wrażenie. Rosnące napięcie z niedokończenia. Wizja całego roku podobnego do poprzednich. Ileż można wcierać, nucić, grafikować, jeśli coś takiego jest w tle? Potrzebowałem urozmaicenia. Ostatecznie ten wyjątkowy rok miał i tak dążyć do następnego Bożego Narodzenia. Należało uczynić rzecz wielką, o fundamentalnym znaczeniu i dostatecznie wysokim poziomie ryzyka. Przeczesałem mój, nieco bardziej zmarszczony teraz, mózg, przeczytałem bełkot paru filozofów i uznałem, że należy wprowadzić się w okres nihilizmu dewigilizacyjnego. Tak! To było to. Zero piękna, czysta destrukcja i całkowite zanegowanie. Totalny reset. Przetasowane realia, pogniecione ubrania, chodzenie faliste, słowna sałata. Chciałem całkowicie wyprzeć wszystko, co dotąd wpoili mi rodzice i popkultura. I w dodatku przenieść ten efekt na świat.

Nie mówiłem nikomu o moich świeżych planach, zacząłem się jednak zastanawiać, czym urozmaicić nowego siebie. Dniami i nocami pracowałem nad jakimś konkretnym sprzętem, mogącym stanowić przedłużenie mojej wyjątkowej ideologii. Nie jadłem, nie spałem, rwałem resztki włosów z głowy. W końcu, po tygodniu, nastąpił prawdziwy przełom i moja wizja uzyskała ostateczny kształt. Jako radykalny, napchany kolejnymi porcjami zeschniętego piernika dewigilizacyjny nihilista uznałem: oto jest. Nadeszła pora, by dni ciężkiego znoju uwieńczyć wreszcie pierwszym testem mojej nowej zabawki. A był nią wsysak bożonarodzeniowy.

Stanąłem na środku mojego warsztatu i ująłem w dłonie to cudo. Przyjrzałem się mu uważnie. Piękna, dopracowana konstrukcja. Osłona tytanowa. Lśniące, lekko chropowate brzegi. Specyficzny zapach gumowanych rączek. Migające diody w odcieniach różu, towarzyszące rzędowi przycisków. Każdy z nich podpisany inną funkcją: wessanie teściowej, szybka likwidacja drzewka, odcedzanie radia z melodramatów, TV bez Kevina, miejsce na orędzie, zwiększacz pojemności żołądka… Błysk geniuszu. Możecie zapytać, ki czort? Po co był mi ów wsysak? Moi drodzy. Jedynym słusznym planem na czas poświąteczny stała się dla mnie wówczas wizja całkowitego oczyszczenia. Po jaką cholerę ludzie trzymali te wszystkie dekoracje? Chciałem, żeby każdy zakończył ten temat raz na zawsze tak, jak ja. Wizjonerzy są przecież od spełniania własnych marzeń, nie?

Wciągnąłem kalesony PolarPlus i postanowiłem przetestować wsysaka. Poszedłem na Plac Zbawiciela, a dotarłem tam już po zmroku. To była ostatnia noc dawnej ludzkości. Za chwilę wkroczyć mieliśmy na nowy poziom rozwoju. Niestety, każdy człowiek wokół mnie był wtedy jeszcze kompletnie zwigilizowany. Tyle roboty, matko. Zwątpiłem na chwilę, lecz przypomniałem sobie, co mi kiedyś powiedziała babcia – wnusiu, olej to. To była najważniejsza lekcja w moim życiu. Zrozumiałem nagle, że nadludzki wysiłek jest niczym, w porównaniu z brakiem misji.

Rozejrzałem się uważnie. Wszędzie łaziły grupki wyszczerzonych zębów, oświetlonych kolorowymi lampkami. Każdy taki garnitur znów na kilka dni zapomniał, co to jest życie. Ja jednak pamiętałem. Byłem jedynym trzeźwym ziomkiem w promieniu kilkuset kilometrów. Należało przystąpić do dzieła i natychmiast interweniować. Wyjąłem wsysak bożonarodzeniowy i wycelowałem w pierwszą lepszą parę z dziećmi. Już miałem naciskać spust, gdy nagle…

– Tata! Pac! Pac! – jakiś brzdąc wysmarowany czekoladą wrzasnął i wyciągnął do mnie rączki. Co za pac?!

– Tata, pac pana! Pan ma giweję! To jes tejminatoj!

Rzuciłem się do ucieczki, jasna cholera! Jestem twardy, teges, ale dzieci się boję. Wszystkie zęby dookoła poznikały, a na twarzach ich właścicieli malowało się zdumienie. Może dlatego, że trochę się darłem, próbując uskoczyć przed każdym kolejnym dzieckiem, które zastępowało mi drogę. Tyle dni precyzyjnego rzemiosła, a ma mnie teraz zeżreć jakiś Piotruś? Dotarłem w końcu, zasapany, do najbliższego osiedla. Upewniłem się, że jestem sam. Tylko ja, ciemność i trzech meneli. Odetchnąłem. W głowie zacząłem układać plan B. Niestety.

– A szluga mosz? – skrzeknął głos zza winkla.

– Idź pan w cholerę, bo jest misja! – rzuciłem, ale za głosem stały wodniste, piwne oczka. Wydały mi się tak smutne, że wymiękłem.

– Dobra. Dam.

Usadowiłem się na murku, rozsunąłem poły mojej M65 i wyjąłem paczkę Wielbłądelli. Znawca etanolu spojrzał łakomie na wyciągniętego papierosa i zamruczał. Wtedy mnie olśniło.

– Jest haczyk – powiedziałem – dam ci, ale musisz mi wyświadczyć przysługę. Widzisz to, tutaj? – pokazałem mu wsysaka – będziesz pierwszym obiektem testowym. Śpiewaj!

– So? So mom śpiewaś? – dziad podsklepny spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Kolędy! Z choinki spadłeś?

– Eee, no dobra. Sicha nos… Świnta noooos – mamrotał pijak i kiwał się rytmicznie na boki.

– Z życiem, bo nie zadziała! – wycelowałem wsysak w menela i czekałem.

Biedak zaczął się wyginać w szaleńczym, desperackim pląsie, widać zależało mu bardzo na szlugu. Zaraz go pozbawię wszelkich świątecznych naleciałości, pomyślałem. Już miałem naciskać spust, kiedy usłyszałem ryk nadbiegającej, nieletniej gromady.

– Sukajcie tejminatoja!

Zmroziło mnie. Oczami wyobraźni ujrzałem grupkę okrągłych oczek, usłyszałem chyba nawet delikatne kłapnięcie szczęki.

– Ile mam tak jesze wyś, morda mnie piesze!

Strzeliłem raz wsysakiem, żeby menel przestał śpiewać, rzuciłem mu hojnie całą paczkę szlugów (dostał po tym zawału, palenie jednak szkodzi) i zerwałem się do ucieczki.

Kamienica, piekarnia, błoto, taxi, gołąb, kanał, skok, kobita, klakson. Dopiero wtedy w pełni poczułem oddziaływanie rosnącego przerażenia. Idealny młynek, kalejdoskop wrażeń. Całe życie przed oczami. Narodziny. Kocyk, grzechotka, babcia. Ja, trzyletni chłopczyk, turlający się w Wigilię po dywanie. Zapach ciasta. Karp, mama. I on. Diabeł. Bezzębny, tłusty diabeł. Dokładnie 24 grudnia zaczął ząbkować. Ganiał mnie potem po całym domu z tą wymamlaną mordą i nitką śliny na brodzie. Chciał mnie zeżreć, to pewne. Rodzice, dentyści z powołania, jeszcze go bronili.

– Nie płacz, Krzysiu. Krystianek musi coś przecież gryźć. Ząbkuje, to dla jego zdrowia.

Kurwa, od tej pory panicznie bałem się dzieci. Póki sam byłem malcem, wybijałem zęby wszystkim kolegom w szkole. Tak na wszelki wypadek. Każde święta były dla mnie jak wielka, uzębiona paszcza. Wszystkie tradycje z nimi kojarzone miały w mojej głowie związek z tym potworem.

Uciekałem przez jakiś czas, aż dobiegłem do centrum handlowego. Postanowiłem bowiem, wiedziony nagłym wyrzutem adrenaliny, że zbiorę się na odwagę i wkroczę do jaskini lwa. Koniec tego dobrego. Uniosłem wsysaka nad głowę, zawyłem jak lew i stanąłem przed wejściem do sali zabaw. Podeszła do mnie jakaś Justyna (miała karteczkę z imieniem na różowym polo), ale odrzuciłem ją delikatnie na bok, pod ścianę. Gdy już wygodnie leżała, wyszczerzyłem dziąsła i wkroczyłem do środka. O tej porze było tam maksymalnie parenaście zestawów mleczaków i ze trzy zębów stałych. Większość w świątecznych sweterkach od babci. W rogu kiczowata choinka, a w głośnikach nadal diva. Byłem wtedy pewien, że kiedyś przeczytacie te słowa i podziękujecie mi za mój wkład w normalizację sytuacji. To mnie nakręcało.

Wszystko poszło zgodnie z planem. Pokonałem swój strach. Narodziłem się na nowo, jako Wielki Dewigilizator. Giwera zadziałała wybornie, aż sam byłem zaskoczony. Ale wy już przecież o tym wiecie. Żyjecie teraz w nowym, bezpiecznym kraju. A ja jestem wreszcie zadowolony. Świat jest taki czysty, bez cienia jakichkolwiek oznak świątecznych. Każdy z nas mieszka w jasnym, niewielkim pokoju i dostaje każdego dnia proste, neutralne jedzenie. Ludzkości towarzyszy cisza i spokojne spacery w ogródkach. Zero kolorów, światełek i pierników. Od kilku sezonów nie było nawet karpia, a tym bardziej żadnych odwiedzin. Tylko my i nasze piękne, białe, równo uprasowane fartuszki. A najważniejsze jest to, że od tamtego czasu nie widziałem na oczy żadnego dziecka! Cieszycie się tak samo jak ja, nie? Nie ma za co.

Postkosmos

Natalia Szołtysek

Stacja kosmiczna Centaurion krążyła na orbicie wokół Llinda 9I, jednej z planet należących do grupy Federacji Ziemi, którą włączono do niej dopiero dwa lata temu. Dookoła rozciągała się jedynie czerń. Teren był pusty, nawet jak na kosmos, ale nadawał się idealnie jako baza badawcza, a gdy spoglądało się w niebo, można było dostrzec krążącego Centuriona.

Adela wzięła kieliszek z musującym szampanem i po cichu wyszła z sali, na której odbywało się świąteczne przyjęcie. Pomimo tego, że znajdowali się dobre parę miesięcy podróży od Ziemi – nie była w stanie podać dokładnej odległości, ale wiedziała, że to daleko – nie powstrzymało to załogi od zorganizowania sobie świąt. Chociaż żadne z nich nie było na Ziemi od dobrych kilkunastu lat, uparli się, że skoro jest grudzień, będą świętować, dopóki pamiętają, że coś takiego istniało. Kurush, jeden z biologów, podczas ostatnich badań w terenie, przyniósł ze sobą drzewko i przyozdobił je papierowymi bombkami, które zrobili razem z Namratą.

Nigdy nie obchodziła świąt, bo nawet nie urodziła się na Ziemi. Była córką pierwszego oficera Odysei, statku owianego sławą w całej galaktyce. Oczekiwano od niej, że przejmie dowodzenie po ojcu, jednak kiedy tylko podrosła i dostała się do Akademii, postanowiła zostać biolożką i badać nieodkryte jeszcze planety. Ziemi nie znała, nie licząc paru opowieści, które usłyszała podczas licznych wypraw. Jej domem od zawsze były statki kosmiczne albo bazy badawcze i tylko takie życie znała.

Centaurion był kompleksem wielu budynków połączonych zawiłymi korytarzami, których nauczenie się zajęło Adeli około pół roku. Baza miała parę pięter i korzystała z najnowszych technologii, a dodatkowo była całkiem ładnie urządzona. Skręciła w prawo i przywołała windę, którą zjechała na dolną część stacji. Chciała uniknąć dalszej świątecznej imprezy, bo, jeśli miała być szczera, nie potrafiła pojąć idei świąt, którą przynieśli ze sobą jej koledzy, wychowani na Ziemi. Nie była też w nastroju, a śmiesznie wyglądające czerwone czapki z białym pomponem sprawiały jedynie, że skręcała się w środku z zażenowania. Chociaż widok Kurusha, rosłego mężczyzny o śniadej skórze w czapce *Mikołaja,* kimkolwiek on był, należał do jednych z bardziej zabawnych widoków.

Drzwi windy otworzyły się i Adela wyszła wolnym krokiem. Na dolnych piętrach znajdowały się głównie magazyny i główna maszynownia, serce całej bazy. Jeśli coś by się tu stało, byliby skazani na pewną śmierć.

Szampan przyjemnie musował jej na języku, więc nie przejmowała się teraz takimi rzeczami. Nie był to ten szampan, który kiedyś pijano na Ziemi. Już dawno przestano tam produkować jakiekolwiek trunki. Ten pochodził chyba z Ixam, chociaż co za różnica – ważne, że był dobry.

Usiadła na schodach i westchnęła cicho. Ostatnie tygodnie były nieustającą pracą, więc mimo wszystko te całe święta miały dobrą stronę, bo przez dwa dni mogła odpocząć. I zjadła porządną kolację, a nie odgrzewane resztki sprzed paru dni. Spróbowała sięgnąć po kieliszek, ale strąciła go dłonią i bezradnie patrzyła, jak szkło roztrzaskuje się o metalowe schody.

– Ktoś tu jest? – rozległ się kobiecy głos z silnym akcentem. – Halo?

– Ja – powiedziała Adela, ale na dobrą sprawę przecież nic to nie mówiło. – Adela. Doktor Adela Gaber – dodała, rozglądając się wokół siebie.

Zza jednego z dużych silników wyszła wysoka kobieta, którą Adela widziała parę razy na stołówce. Brązowe włosy miała spięte w wysoki kok, a policzek ubrudzony jakąś czarną mazią. Chyba smarem albo czymś podobnym.

– Co pani tu robi? – Kobieta przechyliła głowę i wytarła dłonie o przód roboczych, niebieskich ogrodniczek. – Coś się stało na górze? Mam coś naprawić?

– Co…?

– To pan Sabela panią przysłał? Proszę mu przekazać, że dopóki nie wymienię uszczelki w podwoziu tego jego łazika, nie może nim jeździć. Już trzy razy pytał się mnie…

– Sama przyszłam – przerwała jej, nieco niegrzecznie. – Nikt mnie nie przysłał.

– No to co pani tu robi? Czy czasem wszyscy nie świętują u góry przy tej śmiesznej choince? – zapytała kobieta i wyjęła z kieszeni brudny kawałek materiału, którym spróbowała wytrzeć smar z policzka, ale jedynie bardziej go rozmazała.

– Przyszłam posiedzieć – mruknęła Adela. – Za głośno tam było.

– I postanowiła przyjść pani do kotłowni, bo tu jest o wiele ciszej.

Jak na zawołanie któryś z generatorów głośno trzasnął i pomieszczenie wypełnił huk. Adela zamknęła oczy i przycisnęła palce do powiek, aż zatańczyły pod nimi kolorowe plamy.

– Można tak powiedzieć.

Kobieta pokiwała głową i wyciągnęła w jej kierunku dłoń.

– Jestem Kotryna, ale wszyscy mówią mi Katrė. Mechanik. Chyba jeszcze się nie znamy.

Adela spojrzała na nią i powędrowała spojrzeniem niżej, na jej brudną dłoń. Z pewnym wahaniem ujęła ją; uścisk Katrė był zadziwiająco silny i pewny. Na kciuku miała mały tatuaż.

– Adela – przedstawiła się.

– Wiem. – Katrė zaśmiała się. – Już się pani przedstawiła.

– Bez pani – poprosiła. Kobieta nie mogła być od niej młodsza więcej niż parę lat. – Wystarczy Adela.

Katrė pokiwała głową i skinęła w stronę drzwi za sobą.

– Adela – powtórzyła, jakby próbowała brzmienia jej imienia. – To może chcesz poświętować tutaj? Mam piwo malinowe i parę fajnych członków załogi w kanciapie. Właśnie mieliśmy grać w karty.

Adela wstała i otrzepała sukienkę z widmowego pyłu.

– Prowadź.

Wigilia post—

Olga Frydrychowicz

– Wiesz, że jeszcze kilkadziesiąt lat temu dzisiaj obchodzilibyśmy wigilię Bożego Narodzenia?

No tak. Lea i jej zamiłowanie do historii. Zdawała się skarbnicą wiedzy na temat tego, co nie wróci. Nawet Faro nie znał tych wszystkich faktów, a ja od zawsze uznawałam Faro za najmądrzejszą istotę pod słońcem. Podejrzewam, że Faro wiedział więcej na temat rzeczy przydatnych, z kolei Lea wydobywała nie wiadomo skąd miliardy ciekawostek, które nie miały innego przeznaczenia poza tym, by istnieć i zaśmiecać umysł. Fascynowało mnie to.

– Wigilię… czego? – spytałam, marszcząc czoło.

– Bożego Narodzenia – powtórzyła cierpliwie Lea, a w kącikach jej ust zaigrał delikatny uśmiech.

Była istotą nie z tego świata. To znaczy, należała do rasy ludzi, z pewnością, ale wydawała się za dobra na ten świat. Czysta. Niewinna. Niekiedy odnosiłam wrażenie, że rzeczywistość ją pożera. Wysysa to, co Lea skrzętnie chowała w swoim wnętrzu. A jednak nie dawała tego po sobie poznać; była dzielna, choć czasami jej oczy przepełniał smutek i ból.

Teraz jednak patrzała na świat spokojnie, raczej z zadumą niż rozpaczą. Zaciskając wątłe, białe dłonie na krawędzi dachu, na którym siedziałyśmy, machała nogami niczym małe dziecko. Przed nami rozpościerała się różnobarwna panorama miejskich dachów, tu i ówdzie pokryta srebrzystym szronem.

– To było jedno z najważniejszych świąt – tłumaczyła spokojnie, kierując swoje słowa nawet nie do mnie, co do owej fantastycznej publiczności przyglądających się nam budynków. – Niezwykłe. Magiczne. Rodziny gromadziły się przy wspólnym stole. Składano sobie życzenia, a potem śpiewano do późnej nocy.

Parsknęłam śmiechem.

– Po co siadać przy wspólnym stole?

– Wiesz, kiedyś można było jeść *prawdziwe* jedzenie. – Lea wzruszyła ramionami i po chwili intensywnego przypatrywania się mojej twarzy ponownie przeniosła wzrok na roztaczający się przed nami widok. – Miało smak. Zapach. Spróbuj to sobie wyobrazić.

Zamknęła oczy i uśmiechnęła się. Przez chwilę nie znajdowałyśmy się na dachu, tylko w przepełnionym ciepłem pokoju, zupełnie niepodobnym do tych nieskazitelnie czystych wnętrz współczesnych budynków. Dzięki opowieściom Lei właśnie tak wyobrażałam sobie te miejsca: czerwone, z przytłumionym światłem, tak niepodobnym do tych rażących oczy lamp, które przytwierdzone były do sufitów w każdym domu i w każdej galerii handlowej. Pod stopami puszysty

dywan. Ale nie potrafiłam wyobrazić sobie nic więcej – w przeciwieństwie do Lei, bo ona na twarzy miała wyraz rozanielenia.

– Czujesz to? Niezwykłe, prawda?

Skupiłam się, jak tylko mogłam, i wzięłam głęboki wdech. Natychmiast zaczęłam kaszleć, na co Lea odpowiedziała śmiechem.

– Czuję tylko ten smród – odparłam, krztusząc się. W oczach miałam łzy.

– W porządku. Zbyt wiele od ciebie wymagam. Chciałabym móc się podzielić z tobą moją wizją. Wiem, że może być zupełnie odmienna od tego, jak to było naprawdę. Jedzenie, które oni jedli, mogło wcale tak nie wyglądać, nie smakować, nie pachnieć. Ale to takie miłe, na moment móc oderwać się od tego, co teraz serwuje nam świat.

Skrzywiłam się na samą myśl o pigułce żywieniowej. Niektórzy twierdzili, że nie ma smaku i chyba mieli rację, ale pozostawało po niej w ustach coś, co przypominało te chwile przed umyciem zębów zaraz po wymiotowaniu. Lea niekiedy odmawiała przyjmowania swojej. To dlatego była taka wątła – nikt nie miał tu zbyt wiele jedzenia, ale jakoś się trzymaliśmy. Jednak Lea…

– Co jeszcze wtedy robiono? – dopytywałam, starając się nie myśleć o żyłkach przeświturających przez pergaminową, cienką skórę na jej rękach.

– Ubierano choinki.

– Choinki! – wykrzyknęłam z niedowierzaniem. – Przecież drzewom nie jest zimno.

Czasami widywałam drzewa. Kiedy opuściło się miasto, można było trafić na jakiś park – tam rosły drzewa. Były brzydkie, brązowe, ich kora odpadała. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego niektórzy ludzie tak się nimi fascynowali. Z drugiej strony wcale nie byłam przekonana, czy miejskie budynki wyglądały choćby krztynę lepiej.

– Nie w prawdziwe ubrania, głuptasie! – roześmiała się Lea. – Wieszano na nich ozdoby. Różnokolorowe światełka. To chyba potrafisz sobie wyobrazić?

Potrafiłam. Ale nawet z różnokolorowymi światełkami brązowa choinka o mizernych gałązkach nie wyglądała zbyt atrakcyjnie.

– Dlaczego przestano obchodzić te święta?

To pytanie zawisło pomiędzy nami na dłuższą chwilę. Lea nie wiedziała, co odpowiedzieć – albo też nie chciała zdradzać prawdy. Nie zawsze potrafiłam rozszyfrować jej prawdziwą intencję.

– Chyba nie były już modne. Nie wiem. – Wzruszyła ramionami, po czym spojrzała w dół. Odruchowo chwyciłam ją za ramię. Od chodnika dzieliło nas wiele metrów – dość, by z Lei pozostała krwawa plama na asfalcie. Widziałam już parę takich, chociaż spadanie z dachów było nielegalne. Nazbyt niehigieniczne i niebezpieczne.

Coś w tonie głosu Lei mnie nie przekonało, ale nie zamierzałam naciskać. Z łatwością rozpoznawałam momenty, w których nie chciała być dopytywana o kolejne szczegóły – i to był jeden z nich. Podciągnęłam więc nogi i wstałam, otrzepując spodnie.

– Chodź, robi się zimno.

Lea obdarzyła mnie trochę nieprzytomnym spojrzeniem.

– Jeszcze chwilę – mruknęła. – Daj mi poświętować trochę po mojemu.

Wujek Leo

Patrycja Klimek

Wszystkie moje boleści skutecznie tłumione przez ubiegłe sezony w końcu przejęły słuszną kontrolę. Choć były splecione grubym drutem i obszyte w moją skórę.

– NO ŻESZ KUR%#

Wyrzucony ze mnie zwrot był zrywem duszy: równie nieproszony, co potrzebny.

Ochocze „robótki" przy posiłku wigilijnego zepsuły sentencje Leo.

– Ci modzi dzisiej to dejcie pokōj... Lebry wszyńdzie.

Ogólnie to rok w rok znoszę jego pierdy. Bo jest w podeszłym wieku. Problem leży w tym, że nie chodzi o wiek. Chodzi o wrodzone skurwysyństwo. I bycie chujowym człowiekiem. Leo to w teorii mój wuj. Wuj, że przy nim to lepiej, żeby strzegły cię wilki niż on. Serio.

Kiedy byłem dzieckiem, Leo lubił mówić o mnie „zbir" czy „śmieć", choć byłem spokojnym brzdącem. Nie mogłem przy nim nic powiedzieć, bo się złościł. No, świr po prostu. Rodzice o tym nie wiedzieli, więc okolicznościowo był moim opiekunem.

I wiecie co było potem. Potem było NO ŻESZ KUR%#… Więc zrobił się bigos i niestety nie chodzi o jedzenie. Bo to wujo, bo senior i w jego wieku jest ciężko. I wtedy coś mnie uderzyło.

– Nie „senior" i nie „jemu ciężko", tylko po prostu jest gnidą. Wszyscy to wiecie, skończcie mydlić oczy jemu i sobie. Nie chcę uczestniczyć w tej szopce. Wy, skoro wolicie być gnojeni to spoko. Nie będę grzeczny, kiedy ktoś jest zwykłym chujem.

Ojciec mnie wydziedziczył, rodzicom ogólnie trudno było uwierzyć w to, co się dzieje, choć byłem pewien swego i doszedłem do wniosku, że nie mogę pozwolić by Leo znów mnie upokorzył.

Tegoroczny świąteczny okres minął mi wyjątkowo wybornie. Pomimo, że spędzenie tych momentów w KFC nie jest zbyt wykwintne, to muszę to powiedzieć: nie wiem, kiedy wcześniej byłem dumny z powodu swojego wybuchu emocji, mimo to świetnie się z tym czułem!

Postwigilijny spacer

Victoria Październerny

Pochłania mnie mrok kolejnej nieoświetlonej uliczki, a ocieplane kalosze brodzą w błocie i resztkach śniegu. Gubię się w ciemności, prowadząc na smyczy wierną towarzyszkę. Już nie na smyczy, zielone światło jej obroży, przynajmniej w jakimś stopniu oświetla mi drogę. Skręcamy w lewo i wychodzimy naprzeciw ścieżkom przysypanym nieprzejedzonym jedzeniem. Ledwo widoczny śnieg pokryty jest niedojedzoną sałatką. Gdzieś dalej wylegują się właśnie one, pierożki lepione przez kilka lub kilkanaście godzin, rozleniwione, wyrzucają z siebie farsz, tak, jakby wraz z końcem wigilijnych spotkań zrzucały futro na wiosnę. Bardzo trudno wymija się je w ciemnościach. Tym bardziej z psem, który tylko czeka, aby zabrudzić sobie nimi żołądek. Przy brzegu jeziora jakiś starszy pan wyrzuca jedzenie. Czy naprawdę myślał, że nikt go nie zauważy? Chyba naprawdę liczył na to, że w postwigilijnym rozleniwieniu głupie gesty stają się niewidoczne. Nie odstrasza go szczek, ten głośny i poirytowany, jak i ten bardziej zdegustowany. Z szeleszczącej reklamówki wysypuje bułki. Najprawdopodobniej te pszenne, nie wieloziarniste lub grahamki, czy te z niskim indeksem glikemicznym. Wcześniej ciepłe i chrupiące, z miękkością wyrywaną wprost ze środka. Zimne masło lub mniej zimny krem czekolady kiedyś przykrywały jej kruszące się brzegi. Teraz toczą się w dół, ciężkie, już nie tak czułe i miękkie przylegają do skrawków jeziora, którego chronią syczące, białe potwory. Choć nie wiem, czego tak naprawdę strzegą, gdy szybko zbliżają się do brzegu i zaczynają nas odstraszać. Nie odstraszają starszego pana, który w którymś momencie niewzruszony odchodzi. Jednak sprawiają, że my uciekamy, gdy tylko rozpoczynają niebezpieczny ruch skrzydeł i zastraszają sykiem. Biegniemy przed siebie, lekko oświetlone światłem kolorowych iluminacji. Tylko przez kilka kroków, później znowu płyniemy w mroku, lecz nie jesteśmy w stanie się zgubić. Wyczuwamy pod stopami i łapami te same ścieżki, co zwykle, choć tym razem przykryte zbędnymi resztkami. To dziwne, że nie potykamy się o inne post–wigilijne przejawy nadmiaru. Nie natrafiamy na niedokończone rozmowy. Nikt nie wylał gromadzonego w sobie, ciężkiego gniewu, który przelewał się w ciele przy wigilijnym stole. Trafiamy jedynie na ścieżkę postwigilijnego, nieprzejedzonego jedzenia.

Nowy rok, stary ja

Weronika Szymańska

Ostatnie sztuczne ognie rozbłysnęły i udekorowały niebo. A potem nastała zupełna nocna cisza. Trochę abstrakcyjna po tym, co się tu przed chwilą działo, po tych wszystkich toastach, głośnych śmiechach i spontanicznych tańcach. Ale zupełnie normalna i zwyczajna przy każdej innej nocy. Ten wieczór podobno był wyjątkowy, choć teraz wszyscy wrócili do domów i nie różnił się niczym od tego, który był wczoraj. Niebo pociemniało i rozświetlane było już jedynie końcówką papierosa, którego palił i sierpem księżyca.

Jutro trochę więcej pośpi i naprawi coś w mieszkaniu jak to miał w zwyczaju przy każdym wolnym. Pojutrze rano pójdzie do pracy. Niby coś się wydarzyło, a jednak nic się nie zmieniło. Rodziło to dziwne uczucie w jego brzuchu. Jakby wszystkie jego wnętrzności zawiązały się w jeden duży supeł trudny do rozplątania.

Przez ostatni miesiąc zewsząd atakowany był napięciem jakie niosły za sobą przygotowania do tych kilku dni. A teraz te parę dni przeminęło, tak po prostu, jak każde inne dni i całe to napięcie wśród wszystkich również zniknęło jakby na pstryknięcie palcami lub za sprawą dotknięcia magiczną różdżką. Po prostu prast i nie ma. Zwykłe, niezwykłe i znowu zwykłe. Strasznie go to myliło i strasznie mieszało mu to w głowie. Nie lubił tego uczucia.

Otworzył drzwi balkonowe. Na zewnątrz wylała się żywa dyskusja jego przyjaciół o kolejnym serialu, którego nie znał i zapewne nie obejrzy. Każde z nich siedziało teraz jakby bardziej wyprostowane i lżejsze. Bo już po wszystkim, choć przecież nic większego się nie działo. Po piątku była sobota, a po sobocie wciąż będzie niedziela.

Wszedł do mieszkania. Zamknął balkon i poprawił firanę. Wrócił do znajomych i zasiadł między nimi. Ale nie dołączył do rozmowy. Nawet się nie przysłuchiwał. Dalej się zastanawiał, jak to jest, że niby coś się wydarzyło, a jednak nic się nie zmieniło.

Rozstania i powroty

Nikola Szczygieł

Budzę się, patrzę na zegarek, jest godzina 15: 50. Odwracam się i widzę, że Jacka nie ma w domu, pomimo tego, że jest dwudziesty piąty grudnia i ma dzisiaj wolne. W sumie nie dziwi mnie to, bo kilka godzin wcześniej pokłóciliśmy się. Nie wiem, dlaczego on nic nie rozumie, jego zachowanie bardzo mnie zraniło.

Zawsze myślałam, że praca była dla niego najważniejsza, ale niestety myliłam się. Nie wiem po co, wczoraj po kolacji wigilijnej przy wszystkich gościach oznajmił, iż ma kochankę, a przecież mógł z tym wyznaniem poczekać, aż zostaniemy sami.

Teraz nie wiem, co począć, gdyż zostałam sama. Dwa dni temu odkryłam, że jestem w ciąży. Szkoda, że nie zdążyłam mu o tym powiedzieć. Być może sytuacja potoczyłaby się inaczej – przecież jesteśmy małżeństwem od 4 lat. Nie wiem, czy jeśli teraz mu wyznam, że spodziewam się dziecka, to jego decyzja się zmieni. Przecież nie zostawi kochanki, jeśli naprawdę chce z nią być. Trudno i tak nie mam nic do stracenia, więc napisze mu krótkiego SMS–a.

„*Drogi mężu, wiem, iż nie chcesz być ze mną już dłużej w związku małżeńskim, ale chcę żebyś wiedział, że oczekuje Twojego dziecka*"

Minęły już trzy godziny, jest już prawie 19: 00, a on nic mi na tą wiadomość nie odpisał. Pewnie zabawia się ze swoją nową miłością i nie interesuje go już nic, co jest związane ze mną. Teraz wiem, że nie pozostaje mi nic innego, jak spakować jego rzeczy i wystawić je przed dom. Niech jego nowa dziewczyna mu teraz sprząta i gotuje, a szybko przekona się, jak życie z pedantem tak naprawdę wygląda.

Już od ponad godziny upycham jego ciężkie ubrania do walizki. Nagle słyszę jak, ktoś otwiera drzwi i wchodzi na górę po schodach do sypialni. Odwracam się i widzę skruszonego Jacka. Pytam się go:

– Co ty tu robisz?

– Wróciłem.

– Jak to wróciłeś? Przecież nie chcesz już ze mną być.

– Nigdy nie powiedziałem, że nie chcę z Tobą być. Oznajmiłem wczoraj tylko, że się z kimś spotykam.

– No właśnie, przy wszystkich gościach powiedziałeś, że chcesz się ze mną rozstać.

– Nieprawda. Nigdy nie powiedziałem, że chce się z Tobą rozstać. Powiedziałem, że mam kochankę, ponieważ chciałem zobaczyć Twoją reakcje na moje wyznanie.

– Co ty gadasz! – odpowiedziała zdenerwowana kobieta.

– Nie widzisz, że od dawna zrobiłaś się zimna i obojętna na moje starania.

– Co? Niby, kiedy?

– W zeszłym tygodniu, gdy zaproponowałem ci dwudniową wycieczkę do Paryża, powiedziałaś, że nie chcesz jechać.

– Nie chciałam, wtedy jechać, bo źle się czułam. W tamtym okresie miałam napiętą sytuacje w pracy, bo trzeba było wszystkie projekty zamknąć przed świętami.

– Ty wszystkie swoje projekty zakończyłaś jeszcze przed moją propozycją wspólnego wyjazdu. Wiem to, bo sam je nadzoruje, przecież jestem Twoim przełożonym. Czemu dajesz taką dziwną wymówkę? – zapytał zdziwiony Jacek.

– Dobra, nie chciałam tam jechać, bo miałam, wtedy kurs gotowania.

– Miałaś kurs? Z czego?

– Z gotowania. Chciałam w końcu nauczyć się przyrządzać suflet, bo wiem jak kochasz kuchnie francuską, ale teraz i tak to nie ma sensu, bo mnie zostawiłeś dla jakiejś innej kobiety.

– Nie ma żadnej innej kobiety.

– Jak to?– spytała zdumiona kobieta.

– Tak jak szybciej wspominałem, chciałem zobaczyć Twoją reakcje. Wiedzieć, czy Ci jeszcze dalej na mnie zależy.

– Kłamiesz!– odpowiedziała zdenerwowana kobieta.

– Nie kłamię. Czemu nie możesz tego zrozumieć?

– Nie wiem. Może dlatego, że ośmieszyłeś mnie w wigilię przed całą rodziną.

– Przepraszam wiem, że nie powinienem tego robić, ale byłem zły, że mnie okłamałaś. Chciałem przez kila dni pomieszkać w hotelu, żeby dać czas sobie na przemyślenia.

– To, czemu wróciłeś?

– bo przeczytałem twojego SMS–a – odpowiedział mężczyzna.

– Postanowiłeś wrócić tylko dlatego, że dowiedziałeś się o ciąży?

– Oczywiście, że nie. Dalej Cię kocham, a dziecko to szansa na nowy początek. A czy Ty mnie dalej kochasz?

– Po twoim wczorajszym zachowaniu, zastanawiałam się nad tym.

– I do jakich wniosków doszłaś? – zapytał się mężczyzna z niecierpliwością oczekując na odpowiedź.

– Myślę, że gdybym cię nie kochała to pewnie nigdy byś się nie dowiedział o dziecku.

– Czyli mogę wrócić do domu? – spytał uradowany mężczyzna.

– Tak możesz wrócić, ale nigdy więcej nie rób mi już takich numerów – odpowiedziała z zadowoleniem kobieta.

– Obiecuję, że już nigdy nie zachowam się, tak jak na kolacji.

Nigdy mu tego nie powiem, ale to prawdziwy świąteczny cud, że wrócił do domu. Myślałam, że zostanę sama z dzieckiem i już nigdy nie będę zadowolona z życia. Na szczęście jest dziś ze mną i możemy spoglądać razem w przyszłość.

O–SZUKANA

Maria Szczepańska

A wszystko zaczęło się tego wieczoru, który wszyscy uważają za jeden z najpiękniejszych w roku. Było tradycyjnie, jak zawsze. Dobrze znane spojrzenia ciotek gaszących wypowiedzi o polityce, udających powszechną miłość i zgodę. W pewnym momencie rozmowa przy wigilijnymi stole zeszła na poważne tematy. Wujkowie zaczęli rozprawiać o wojnie, katastrofie klimatycznej, kryzysie energetycznym, inflacji i napięciach między państwami. Gdy ktoś powiedział, że zbliża się koniec świata, sztuczna choinka stanęła w ogniu. Jak krzak gorejący. Babcia rzekła: „Czas się wypełnił!". Pod choinką stał elegancki, drewniany napis „HOLY NIGHT". Co dziwne, nie zajął się ogniem. Wszystkie litery wyszły z pożaru w stanie nienaruszonym. Wszystkie, oprócz „O", które zniknęło zupełnie, a po którym został tylko oderwany klej w zagłębieniu deski, gdzie było przymocowane. I od momentu zniknięcia litery wszyscy zaczęli mówić inaczej.

Zacinały się usta. Rodzina, sąsiedzi, ludzie z ulicy, radia, telewizji, kościoła i sklepu, zaczynali się dusić przy niektórych wyrazach. Mówili: „Mój Bże! C się stał?!". Najmłodszy z uczestników wigilijnej katastrofy – Michał, przejął się nią zupełnie. Ta sytuacja stała się dla niego wielką szansą! Chciał być pisarzem i marzył, że będzie miał Nbla z literatury. I wreszcie zaistniały zdarzenia warte zapisania. Katastrofa wzbudziła w nim wielkie natchnienie. Następny dzień, zamiast z bliskimi, spędził na pisaniu. Wyciągnął piękny zeszyt i zaczął bazgrać:

Jestem petą i napiszę teraz pemat petycki o chince, której akt spalenia miał miejsce w wigilię:
(uwaga, piszę wierszem,
białym
i bez
interpunkcji)

Była sobie sztuczna plastikowa chinka
ładna ale stara i duża jak na sztuczną chinkę
póki się nie spaliła
uwielbiałem na niej wieszać różne atrakcyjne rzeczy
łańcuchy
świecidełka
lubiła
i ja też

pamiętam jak ją kupiliśmy
z tatą
na targu z plastikowymi chinkami
różne były
małe duże
bardziej mniej atrakcyjne
niektóre chinki były nawet białe
spryskali je farbą jakby śniegiem
musieli spryskać
białe chinki w naturze
nie występują

patrzyliśmy na nią
tę jedyną
i widzieliśmy
że będzie nasza

służyła nam lat wiele
teraz czas na łzy

został z niej szkielet
dym i smród

wiele z nami przeszłaś
niemy świadku tylu świąt
żegnaj na zawsze

Tak pisał cały dzień, większość wyrazów mu źle brzmiała, ale wyszukał te adekwatne i był z siebie dumny. A gdy wstał znad zeszytu usłyszał, że wszyscy krzyczą na siebie w niezrozumiałym języku: „Jasna chlera! D jasnej anielki! Mój Bże, Matk Bska i wszyscy święci!!! C się stał z nami??? I dbrze, że się spaliła ta głupia chinka! Mówiłam Ci, żeby kupić inną, żywą, a nie takie chińskie badziewie!!!".

Mama z tatą dwa dni później kupili żywą chinkę. Miała piękny kształt, była piękna, nie taka wychudnięta z kiepskiego marketu. Prawdziwa, żywa, kształtna chinka! Zaraz Michał przewiązał ją łańcuchem i dał na nią świecidełka. Lubił siedzieć przy niej i się na nią patrzeć.

Gdy tak siedział kiedyś u stóp chinki, tuż przed napisem bez jednej litery, zauważył, że literka „Y" zaczęła się chwiać. Skradł się na palcach i nachylił się nad napisem, gdy futrzasty, czarny kształt, był w trakcie wyłamywania z napisu litery „Y".

– Jakiś dziwląg jakiś diabeł! Diabeł tutaj Matk Bska!!!! – krzyknął Michał.

– CI – CHOOOO – powiedział stwór – Jestem tylko koo–otem.

– Ktem?! Tylk ktem? Zwykłe kty nie gadają! A tym bardziej nie mówią teggggg – zaczął się ksztusić – Ty mówisz t, czeg inni nie mgą mówić! Ty ukradłeś nasze ghgghhfdrrrrrrrr, tę naszą literę!!! To Ty! – zaczął krzyczeć – Mam! Tat! Chdźcie! Szybk! Ratunku!

– CI–CHOOOOOO – Nic ci nie po–owiem, jak się nie uspoko–oisz, ro–ozdarty dzieciaku! – syknął stwór.

– Zaraz wezwę plicję! – krzyczał Michał.

– A wzywaj so–obie ko–ogo chcesz!

– Synkuuuuu jedzenieee! – krzyknęła z kuchni Mama.

– Nie chcę teraz! – marudził synek.

– A ciekawe – rzekł stwór, ruszając literkę „Y" – spróbuj co–oś teraz powiedzieć…

– T głupi kcie! Zaraz będziesz uwięzin w więzieniu, pdła istt! Kurde n nie wtrzymam zaraz tu!

– HYHY. Na „Y" też działa! – rzekł z uśmiechem stwór.

– C t rbisz???? T jeszcze zbaczsz! Zstaw nas w spkju i daj nam z pwrtem wszstk! T złdzieju! Już mam dść szukania snnimów, chciałem bć petą i pisać wiersze, a bez liter to nib jak mam dstać Nbla!

– CI – CHOOO, zaraz ci wszystko niecierpliwcu opowiem – rzekł, zostawiając literę „Y" w spokoju.

– Mów, ale migiem! – krzyknął Michał.

– Noo to chło–opcze… Widzisz, ty chcesz być poetą, a ja chcę robić karierę w telewizji. Napisałem scenariusz reklamy, wiesz, takiej luksuso–owej karmy… napisałem sam.. znaczy z taką ko–ocicą, a wiesz o–ona to ma pazura! O ma skubana! Noo, ale wracając.. My, ko–oty, te gadające, ko–oty magiczne, o–o nas się nie mówi, ba! Nas się dyskryminuje! I poszedłem do prezesa takiej komercyjnej telewizji, że mam gotowy scenariusz i całą ekipę i czy jest chętny do współpracy…

– C t ma wspólnego niby…

– CI–CHOOO – warknął – No i ten prezes, co–o oon się uważa za nie wiadomo ko–ogo, a no–o i to–o jest kluczo–owe, że w tej reklamie napisałem taką piosenkę – o–o taką – zaśpiewam ci!

– Nie śpiewaj głupku tylko mów zwięźle – zdenerwował się Michał.

– Ale to gno–ojku jest kluczo–owe, więc jak chcesz się do–owiedzieć czego–oś, to stul pysk! – zamruczał stwór.

– No–o i ta piosenka to–o brzmiała tak – bardzo wzruszająco, na ko–ocią melo–odię – o–o tak: oooo–oooooo o o oooo, oooo:ooooo „oo ooo ooooooo o oo o–o–o–o OOOOOOOO!!!" Ekhem –

odchrząknął – Mniej więcej tak. I ten prezes, co–o już mówiłem, że się uważa za nie wiado–omoo ko–ogo, po–owiedział kpiącoo, że się zgo–odzi, jak wykupię wszystkie prawa auto–orskie majątko–owe do–ootyczące litery „O". Zaśmiał mi się prosto w mo–ordkę ten łachudra i po–owiedziałem – zo–obaczymy, ktoo się będzie śmiał! Boo wiesz… nas się dyskrymiuje i nie do–ocenia. A my mamy swo–oje wtyki. Ja, wiesz, mam do–obrą po–ozycję. Ty nie wiesz, z kim ro–ozmawiasz, ja mam wpływy u Szefa.

– Szefa gadających któw? – zaśmiał się Michał.

– Ty się nie śmiej! Ty uważaj! – ściszył głos – my mamy ko–ocią masoo–onerię – tylko ci–choo, noo i po–owiedziałem Szefoowi, jaka sytuacja – a oon się tak wkurzył, że zno–owu nasz gatunek jest dyskryminowany – wziął jakiś zapieczęto–owany do–okument, ootwo–orzył, po–odpisał pazurem jak Zo–orro–o i wręczył mi too. Too była umoo–owa nabycia praw majątko–owych do–otyczących litery „O" – tylkoo miałem skądś sko–ombinować taką literkę. No–o a jak się włóczyłem kiedyś poo mieście too zo–obaczyłem, jak ubieracie taką brzydką cho–oinkę i stawiacie ten napis, więc, wkradłem się. Wystarczyłoo tro–ochę jakichś tajemniczych sztuczek wywo–ływania małegoo po–ożaru, po–onacierałem inne literki takim ko–ocim specyfikiem, żeby wam zo–ostały przynajmniej po–ozostałe literki, noo i mam.

– A p c ci litera „Y"? – zapytał Michał.

– Tak dla zabawy, na zło–ość prezesowi – uśmiechnął się stwór.

– Ale…da się zwrócić nam tttt? Wiesz jak t chlernie ciężkie?! Wszyscy się dusimy, ksztusimy i nie mżemy nrmalnie mówić!

– Spo–oo–koo–ojnie, jutroo idę na spo–otkanie do prezesa.

– Niech ci wydadzą tę chlerną reklamę, ale nam zwróć naszą literę!!!

– Jedzenie już zimne! – krzyknęła mama.

– Zaraz! – rzekł Michał. A gdy przykucnął znów przy napisie – stwór zniknął.

Następne dwa dni Michał spędził na patrzeniu się na napis i wyczekiwaniu na dziwląga, aż wreszcie stwór wkradł się przez drzwi tarasu i syknął na dzieciaka.

– I c? udał się cś załatwić? – zapytał niecierpliwie Michał.

– HAHAHA – żebyś ty widział tego prezesa jak się piekli: „ty przeklęty kcie sierściuchu jeden zawszny chlera jasna złdzieju kradzieju trzykrć przeklęty! Już ja ci pkażę te twją głupią reklamę! Będzie w telewizji, będzie! Sam się śmieszysz przed ludźmi ale prszę bardz! Na własne życzenie! Tylk chlera jasna daj z pwrtem te przeklętą literę!!!" I patrz co–o mam – wyciągnął brązowy worek, wyjął z niego brakującą literę, wstawił na odpowiednie miejsce, po czym szybko zawinął ogon i uciekł już na zawsze.

– MAMO! TATO! – wrzasnął z całej siły chłopiec.

– Co? Cooo? – przybiegła do pokoju mama, wołając i dziwiąc się jednocześnie, że rozwiązał się jej język.

– COOOO? – dogonił ją równie zaskoczony tata.

– OTOOO O! – krzyknął szczęśliwy chłopiec pokazując napis pod nową, żywą choinką.